SPRAWA

TYGODNIK, SŁUŻĄCY ODRODZENIU NARODOWEMU W DUCHU KATOLICKIM.

Rok I. *Warszawa, dn. 20 czerwca 1919 r.* Nr. 20.

TREŚĆ NUMERU:

Tyranja frazesu.

„Difficile est satyram non scribere".
(Hor.).

Są ludzie, którzy wobec pewnych wyrazów, czy frazesów padają plackiem, mają dla nich poprostu zabobonną cześć, znajdują się pod ich magicznym urokiem i wpływem. Ta frazesolatrja nie przeszkadza im zresztą być „bardzo zacnymi Polakami i katolikami", jak się zwykło mówić. Ojczyznę kochają gorąco, zwłaszcza dopóki nie potrzebują z siebie zbyt wiele dla niej poświęcić, i do kościoła chodzą także, a jakże: na uroczyste obchody, śluby, chrzty, pogrzeby; zachowywali nawet zwyczaj „święconego", dopóki ono nie było zniesione ,przez władzę duchowną (ku ich pewnemu zgorszeniu, niewielkiemu zresztą, stanowczo jednak przyznać trzeba, że więcej się tem zgorszyli, niż złagodzeniem postów). Przedewszystkiem zaś starają się być ludźmi „inteligentnymi", a raczej, ściślej mówiąc, mają w sobie jakiś wrodzony lęk, żeby broń Boże nie posądzono ich o brak inteligencji.

Patrjotyzm jest w ich pojęciu czemś, no... powiedzmy, jakby pewną koniecznością, z którą się człowiek zrasta od lat dziecinnych, i którą się ukochało; katolicyzm zaś — pewną tradycją polską, jakąś drogą sercu pamiątką, jakby szatą odświętną, na którą nie wolno nikomu, zwłaszcza żydowi, podnieść ręki; sami jednak wobec religji rezerwują sobie „krytyczne" stanowisko. Przedewszystkiem bowiem i nadewszystko inteligencja! Wykształcenie, nauka, wiedza, postęp, panie łaskawy, to grunt! Co tu gadać, rozum to rozum, i sprawa skończona.

Są to, wprawdzie nie męczennicy, ale prawdziwe ofiary nauki; rozumie się nie tej nauki, której uczeni poświęcają swą pracę, zdolności, wysiłki, życie, ale ofiary jakiegoś zabobonnego lęku przed powagą nauki, którą sobie w skrytości serca wyobrażają jako wszechmocną królewnę z bajki, dla której niema granic przestrzeni i czasu, tajemnic, przeszkód, trudności i której zawsze szarmancko należy się ukłonić, ilekroć bywa wspomniana.

Światopogląd tych ludzi, czy coś, co u nich światopogląd zastępuje, możnaby zawrzeć w dwóch słowach: postęp i konserwatyzm. Magiczne słowa, prawdziwy kamień filozoficzny, rozwiązujący wszystko, coś nakształt absolutu, któremu kłaniać się będziesz i jemu samemu służyć będziesz. W nim zawiera się cała mądrość świata. Albo coś jest postępowe, a więc prawdziwe, sprawiedliwe, dobre, albo konserwatywne, a więc wsteczne, zacofane, średniowieczne, barbarzyńskie. W tym dylemacie zawiera się wszystko, „tertium non datur". Postęp jest równoznaczny tutaj z nowością, z tem czemś, czego domaga się „nauka" wyzwolona, bez-stronna, bez-moralna, bez-bożna; konserwatyzm zaś jest obroną wszystkiego co stare, przeżyte, zaśniedziałe, średniowieczne, scholastyczne, klerykalne i t. p.

Co ten liczny poczet rzeczowników i przymiotników, jak wiedza, nauka, prawda, sprawiedliwość, postęp, konserwatyzm, średniowieczny, klerykalny i t. p oznacza, jaką wyraża treść, nad tem sobie wyznawcy tego „światopoglądu" zbytnio głowy nie łamią, tkwi bowiem w ich podświadomości jakieś przekonanie, że są to rzeczy jasne i oczywiste, przecież wszyscy o tem mówią, taki jest „usus loquendi", wszak już w podręcznikach szkolnych było tam coś napisane o czarownicach średniowiecznych, o aniołach na końcu szpilki, o paleniu na stosie. Tak, tak, panie łaskawy, podówczas Kościół wszystko w swoich rękach trzymał, ale przecież czasy się zmieniły, nowożytny postęp, kultura, panie tego... dzisiaj zupełnie co innego, trudno żądać, żebyśmy cofali się do wieku XIII.

Na tle takiej, a dość szeroko rozpowszechnionej terminologji, czy frazeologji, ciekawych, a zwykle zaciętych można nasłuchać się rozpraw. Możeby one nie były bez pożytku, możeby się przyczyniły do wyjaśnienia niejednej sprawy w głowach rozprawiających, gdyby nie nasz sangwiniczny temperament, uniemożliwiający spokojną a rzeczową refleksję. Najczęściej jednak nie dają one dodatnich rezultatów, a dla spokojnego obserwatora przedstawiają dość zabawne spectaculum.

Zdarzyło mi się niedawno być w jednem towarzystwie. Rozmowa toczyła się dość bezładnie o bieżących sprawach i zagadnieniach publicznych. Nieszczęście chciało, że p. X., gorący patrjota, dotknął mimo swej woli, zwolennika innych niż swoje poglądów, pana Y. Pan Y. rzucił z mocą panu X. ni mniej ni więcej tylko te słowa: „miejmy odwagę powiedzieć to śmiało: patrjotyzm, moi panowie, jest to przeżytek, z którymby raz nareszcie należało skończyć, jest on przyczyną wszystkich nieszczęść, które są dzisiaj naszym udziałem. Zgadzają się na to zdanie wszyscy przedstawiciele dzisiejszej nauki. Cóż bowiem, jeśli nie patrjotyzm, rzuciło miljony najniewinniejszych lu-

dzi w objęcia bratobójczej walki, co wywołało tę straszną katastrofę europejskiej wojny, której podobnej nie znają dzieje?"

Widziałem, jak p. X. bladł i rumienił się naprzemian w czasie tej gorącej przemowy. Serce ścisnął mu ból niewymowny, dech zamarł mu w piersi. Dotkniętym czuł się w swych płomiennych uczuciach miłości Ojczyzny, rozumiał, że nie ze wszystkiem należałoby zgodzić się w przemówieniu przeciwnika, ale miecz wypadł mu z ręki; cios bowiem wymierzony mu został z tej strony, z której się najmniej spodziewał: oponent powołał się na argument „naukowy".

Rozmowa potoczyła się dalej. Pan X. przycichnął na chwilę, jakby zbierając na nowo siły do walki i czekając na sposobność zrehabilitowania się w opinji swego postępowego przeciwnika.

Tego dnia i mnie los prześladował. Zajmowałem miejsce obok pana X—a.

Księże Dobrodzieju! rzekł do mnie p. X. tonem łaskawym. Ksiądz, aczkolwiek człowiek klerykalny, ale bądź co bądź intelligentny, zapewne podziela moje zdanie, że jednak patrjotyzm...

Nie jestem klerykałem, mimo że jestem księdzem, przerwałem mu spokojnie.

Jakto?! zawołał p. X., jakby rażony piorunem i o mało co nie spadł z krzesła, przecież ksiądz musi być z zasady konserwatystą.

Podtrzymałem go zlekka pod rękę, by nie mieć na sumieniu jakiej obrazy na ciele człowieka tak gorących przekonań, i odrzekłem spokojnie: nie rozumiem, panie szanowny, co pan chce powiedzieć i co ma wspólnego konserwatyzm z klerykalizmem?

Co ksiądz mówi? zawołał. To chyba ksiądz dobrodziej jest suspendowany, czy też ma coś z biskupem na pieńku; przecież was tam uczono w seminarjum, no i każdy ksiądz to musi tak mówić, jak mu tam w głowę nakładziono.

Uczono nas myśleć logicznie, ściśle, nadawać wyrazom to znaczenie, które one mają rzeczywiście w życiu.

Kiedy ksiądz znowu zaczyna mówić, jak ksiądz: dystynkcje, dystynkcyjki, no znamy się na tem. Niech ksiądz zapomni na chwilę, że jest księdzem i mówi jak człowiek.

Zupełnie poważnie panu mówię, że chociaż w zgodzie jestem z biskupem, jednak jestem przeciwnikiem klerykalizmu w tem znaczeniu, żeby księża mieli dążyć do panowania w dziedzinie spraw świeckich; my tylko dążymy...

Wolne żarty, rzekł p. X. z uśmiechem niedowierzania, bodaj księdza anieli uścisnęli. Niech ksiądz jednak nie myśli, że ja jestem jakiś antyklerykał, czy też jaki ateusz. Nie, ja księży bardzo lubię, zwłaszcza takich pogodnych, jak ksiądz, no, panie łaskawy, do rany przyłóż. Ale widzi ksiądz, mówmy szczerze. Jabym tak chciał kiedy z księdzem intymnie porozmawiać o sprawach religijnych, ale tak po przyjacielsku, żeby ksiądz zapomniał o tem, co tam księdzu w głowę nakładziono, a tak objektywnie, naukowo traktował sprawę.

Czy pan szanowny, zapytałem z uśmiechem, idąc do lekarza na poradę w kwestji swego zdrowia również takie naprzód czyni zastrzeżenie, żeby doktór zapomniał tego, czego się uczył na wydziale medycznym?

Kiedy księdza ciągle trzymają się żarty, rzekł śmiejąc się p. X. Widzi ksiądz, ja do lekarza nie chodzę, bo jestem zdrów, dzięki Bogu, ale do księdza mam szczerą sympatję. Tylko jakoś dzisiaj nie mogę się z ludźmi dogadać. Pan Y. zarzucił mi zacofanie, ksiądz też nie chce poprzeć mego zdania. Odłóżmy tę dyskusję już chyba na kiedyindziej, bo dzisiaj mam pecha; jak ta kula bilardowa odbijam się od brzegu do brzegu, nie mogąc trafić i zrobić karambola.

Rzeczywiście dyskusje, prowadzone przez ludzi na terenie wytartych i bardzo luźnych w pojęciu ogółu frazesów, przypominają odbijanie się od band bilardowych kuli, toczącej się pod pchnięciem beztroskiego gracza.

Pechowy mój interlokutor przypomniał mi też zabawny wypadek, jaki się zdarzył na jednym z popularnych odczytów z dziedziny fizyki, przeznaczonym dla robotników. Prelegent wykładał słuchaczom o cieczach i demonstrował wykład doświadczeniem. Kiedy zaś użył wyrażenia: „warstwy górne cisną na dolne", z pośród audytorjum ozwał się głos: „hańba im!" Jakiś towarzysz z pod znaku P. P. S. czy S. D. przeniósł się widocznie w wyobraźni w atmosferę wiecową, do której przywykł, i dał wyraz swemu oburzeniu względem warstw „górnych".

Wytarte frazesy i komunały, wyrażenia bez treści i rozumienia ich znaczenia, poza swą stroną komiczną, kryją pewien tragizm. Powtarzane z dobrą miną, w imię nauki, bezstronności, czy dla imponowania nieświadomym, są istną plagą życia. Dowodzą one braku głębszego wyszkolenia umysłowego ludzi, rozpanoszonej blagi, lenistwa umysłowego i moralnego, przeszkadzają w wyrabianiu jasnej opinji o sprawach nieraz najważniejszych, obchodzących ogół.

A więc, w imię pogłębienia naszego życia umysłowego zwalczajmy usilnie tyranję wszechwładnego obecnie u nas frazesu.

X. K. T.

Wschodnie skraje Polski.

III.

Na szerokości Warszawy leży wielki klin Poleski, objęty linjami Brześć—Mohylew, Brześć—Kijów. To naturalna forteca, osłaniająca dorzecze Wisły od wschodu, a rozdzielająca wschodnie skraje Polski na dwa teatry bojów. *Litwa* leży na drodze do środka Europy Wschodniej, do Moskwy. *Ruś* jest pasażem do morza Czarnego i Krajów Czarnomorskich, przez bramę Wołoską — do Konstantynopola.

Rożnią się bardzo te dwie połowy dawnego W. Ks. L. Tamto kraje leśne, resztki puszcz dziewiczych Europy północnej. To—stepy, kraniec stepowego klina wybiegającego z głębin Azji ku Karpatom. *Litwa*, to ważne ogniwo, krzyżownica ważnych szlaków, bogata w drogi lądowe i wodne.

Wyniosła, pocięta jarami Ruś jest bezdrożem, posiadającem tylko na obwodzie linje rzeczne. A jednak kolonizacja Litwy odbywała się powoli i nie doznawała wielkich wstrząśnień, tymczasem Ruś południowa przeżywała kolejno gwałtowne przypływy i odpływy ludności, rozkwity i spustoszenia, była klasycznym krajem wojen chłopskich, obracających pola uprawne— w Dzikie Pola. Na obszarach Rusi wyrosły i zacho-

wały się najostrzejsze kontrasty socjalne, które w XVII wieku zatrzęsły posadami Rzeczypospolitej i spowodowały rozbiory: próbny w wieku XVII i ostateczny — w XVIII-ym.

Już na sto lat przed rozbiorem tu właśnie Polska doznała największych uszczupleń. Straciła mianowicie bogate Zadnieprze, którą Rosja posiadła wraz z *Kijowem*, ogniskiem Rusi. Reszta Rusi Południowej, po kilkudziesięciu latach tureckiego panowania, wróciła do Polski uszczuplona i wyludniona. Przy I-ym rozbiorze Austrja odcięła zachodnią część Podola — po Zbrucz. Resztę posiadła potem Rosja i uformowała z 4 województw Rusi Południowej 3 gubernje „Południowo-Zachodnie".

Te trzy gubernje tworzą czworobok kształtu rombu, oparty o Prypeć, Dniepr, Dniestr, a na zachodzie o nikłe linje Bugu i Zbrucza. Ściśnięty bagnami Polesia z jednej strony, a przedgórzami Karpat, a nawet jarami Podniestrza z drugiej, biegnie tu pasaż z dorzecza Wisły ku zatoce Odeskiej, ku Dnieprowi, ku bogatej Rosji Południowej, na którą—w miarę wzrostu górnictwa, cukrownictwa i rolnictwa — przesuwa się środek ciężkości całej Rosji.

Czworobok południowo-ruski jest dokładnie dwakroć mniejszy od północnego, litewskiego. Stanowi 20% obszaru ziem polskich (Królestwo 15%, Litwa 40%). Ludność szacowano 1910 r. na 12½ milj. (23% ludności z. pol.=ludności Litwy=ludności Królestwa). Gdy Królestwo miało 100 ludzi na km. kw., a Litwa—42, to Ruś posiadała 75. Jeżeli jednak odrzucić północny Wołyń, zawierający pustkowia Poleskie, to na pozostałym obszarze spotkamy się z niezmiernie gęstą ludnością, tem gęstszą, że stłoczoną na roli, pozbawioną wielkiego przemysłu i wielkich miast.

Na Litwie było wielkich miast 4, z tych największe — Wilno było i pozostało miastem polskiem, broniącem polskiego charakteru kraju. Na Rusi jedynem wielkiem miastem jest Kijów, miasto arcy-rosyjskie, przechowujące potężne tradycje i szerzące rusyfikację. Pomniejszemi ośrodkami rusyfikacji są miasta i miasteczka żydowskie. I tu, jak na Litwie, żydzi najwięcej skorzystali na ruinie żywiołu polskiego, stworzyli nową inteligencję kraju, awangardę rewolucji rosyjskiej. Są tu jednak mniej liczni niż na Litwie (14 a 12%), nie mają też tak wielkich środowisk i ulegają wpływom wielkiego żydowskiego miasta nad morzem Czarnem. Tylko w jednym powiecie (Berdyczowskim) żydzi mają ponad 20% (23%), gdy na Litwie takich powiatów jest 9—z Białostockim na czele (29%).

I żydzi, i szczątki kolonizacji polskiej toną tu w masie ludu ruskiego. Lud ten wśród zamieszek, gwałtownych migracji, wsparty od stu lat przez rusyfikację, pochłonął, wynarodowił domieszki etniczne, mianowicie żywioł polski. Niejednolity antropologicznie, jest bardzo jednolity językowo i wyznaniowo. Podczas gdy na Litwie panują dwa Kościoły i 5 szczepów: polski, litewski, łotewski, biało i małoruski, — na Rusi południowej panuje jeden język: małoruski, i jedno wyznanie prawosławne. Gdy na Litwie katolicy stanowili 311 na tysiąc, na Rusi — 69. Z powiatów dawn. W. Ks. tylko połowa posiadała zwyż ⅔ prawosławnych, tutaj z 36 pow. — tylko 6 nie miało stanowczej większości ruskiej. Co więcej, gdy na Rusi Litewskiej istnieje możliwość zmiany stosunków bądź przez kolonizację, bądź przez wpływ kultury, na ludnej, zwartej, jednolitej Rusi ukrainnej te zmiany są wykluczone, tembardziej, że jest ona oddzielona od bloku polskiego przez wielki trójkąt obszaru mieszanego—*Ruś Czerwoną*.

Ruś ukrainna najwięcej ze wszystkich dzielnic pochłonęła krwi polskiej, strawiła polską kolonizację

X. WITOLD CZECZOTT.

O HYMN NARODOWY.

Pieśń „Boga Rodzica" mylnie przypisywana św. Wojciechowi, ale sięgająca w każdym razie XIII-go w. jest jednym z najdawniejszych, a może i najstarszym zabytkiem naszego języka i naszej pobożności. Jestto właściwie pieśń katechizmowa, ale stała się hymnem narodowym, kiedy ją rycerstwo przed bitwą śpiewało. Niema w niej wzmianki ani o ojczyźnie, ani o narodzie, a jednak bezwiednie zarysowuje się posłannictwo narodu, który miał zostać *przedmurzem chrześcijaństwa*. Nie wiemy kiedy „Boga Rodzicę" śpiewać przestano, prawdopodobnie z upadkiem ducha religijnego w XVIII wieku; cześć jednak Najśw. Panny w narodzie polskim przejawiła się w przededniu rozbiorów w Pieśni konfederatów. Tu już mamy wyraźną i ufną modlitwę do Boga o zwycięstwo dla tych, co nie chcą być „Z królami w aljansach", którzy idą na „Święte kraju werbowanie", którzy siebie nazywają „Sługami Maryji", „na ordynansach Chrystusa". Niestety ta wzniosła nuta pieśni zamilkła wraz z bohaterami Baru. Ojczyzna rozszarpana jakby oniemiała. Dopiero w 30-ci lat potem, na włoskiej ziemi zabrzmiała pieśń legjonów: „Jeszcze Polska nie zginęła". A nuta mazurka i junacka przechwałka, że „co nam obca moc wydarła, mocą odbierzemy" tak smutnie brzmiąca wobec rzeczywistości, zdradzają w jakich warunkach i w jakim czasie a pieśń powstała. Brakuje jej powagi i podniosłości ducha, brakuje przekonania, że w Bogu tylko zwycięstwo, o które prosić trzeba. A jednak mimo tych braków po dziś dzień brzmi ona w uchu Polaka nietyle treścią, jak dźwiękiem, jako pieśń narodowa, podobna do Marsyljanki, prawie współczesnej sobie. Był to bowiem pierwszy głos Polski, powstającej z mogiły, w którym pojęcie Ojczyzny i narodowości wyraźnie i dobitnie zaznaczone zostało. Na tę pobudkę, na to hasło Polska poczuła się narodem jednolitym. Niestety hasło przebrzmiało, a z nadziei, przywiązywanych do orłów napoleońskich, wykwitło tylko—Królestwo Kongresowe. I rozmiary jego i fikcyjna niepodległość dalekiemi były od wskrzeszenia ojczyzny. Przygnębiony jednak Naród nasz z zapałem chwycił się rzuconej sobie kotwicy, uczcił Aleksandra I tytułem Wskrzesiciela Polski, a Alojzy Feliński, w pieśni „Boże, coś Polskę", prosił Boga o zjednoczenie ludów pod jego berłem, jako „Anioła pokoju" (!?)

Entuzjazm dla Aleksandra I ustał prędko dzięki rządom W. Ks. Konstantego, które sprowadziły powstanie 1830 r., a następnie skasowanie konstytucji. Hymn Felińskiego poszedł w chwilowe zapomnienie, ale odpowiednio zmodyfikowany i zbogacony coraz to nowemi strofami, zagrzmiał z piersi ludu warszawskiego w 1861 roku, skąd z błyskawiczną, niemal żywiołową szybkością, rozszerzył się po wszystkich zakątkach dawnej Rzeczypospolitej wszędzie, gdzie biło serce polskie i odtąd stał się prawdziwie i ostatecznie naszym Narodowym Hymnem. Jestto przedewszystkiem

i kulturę, stała się przyczyną zguby Polski, pozostała obcą Polsce.

Wyrosły na tej żyznej ziemi bujne chwasty egoizmu społecznego i nienawiści plemiennej. Niema sposobu na pogodzenie tego kraju z polskiem panowaniem. Nigdy też nie pogodziłaby się Rosja z utratą tych cennych dziedzin, kolebki Rusi. To też, o ile na Litwie granica Polski może odsunąć Rosję z połowy conajmniej litewskich powiatów, to na Rusi spodziewać się można utrzymania nie więcej nad 10 powiatów (z 36).

Spis 1897 r. wykazał mniej 66% prawosławnych w powiatach: Łuckim, Rówieńskim, Zwiahelskim, Żytomirskim i Berdyczowskim. Tych 5 powiatów ciągnie się smugą przez środek kraju, wyznaczając stary szlak kolonizacji polskiej na pograniczu Polesia i Podola, zakończony dawnem ogniskiem handlowem, Berdyczowem, Częstochową Rusi.

Osobną pozycję zajmuje powiat Płoskirowski na pograniczu Galicji (23% rz. katolików). To zakończenie czerwonoruskiego szlaku kolonizacji polskiej, idącego od Sanu przez Lwów, Tarnopol i urywającego się tu u źródeł Słuczy i Bohu.

Podobnie potężnego pasma osad polskich, jak na Litwie, którebv przecinało cały kraj i zawierało wielkie ognisko polskiej kultury—tu nie znaleźć. Żywioł Polski silny kulturalnie i ekonomicznie, słaby jest liczebnie, rozproszony, przerzedzony przez rusyfikację i rutenizację.

Nie należy jednak zapominać, że od czasu tendencyjnego spisu ludności zaszły zmiany w zachodniej części kraju, które zmieniły stosunki na korzyść żywiołu polskiego. Mianowicie: w ostatnich 20 latach osiadło na zachodnim Wołyniu sporo ludności polskiej z Królestwa i Galicji, a nawet z zaboru pruskiego bądź w roli drobnych gospodarzy, bądź robotników, wreszcie ostatnią falę przesiedleńców rzuciła tu wojna. Otóż te zachodnie powiaty Wołynia tworzą ostry narożnik rombu ruskiego, wciśnięty wzdłuż Bugu w dorzecze Wisły.

Należałoby wyrównać tu granicę Polski i osłonić Polskę od najazdu rosyjskiego czy ruskiego z Ukrainy. Taką osłoną ma być trójkąt fortec wołyńskich Łuck—Dubno — Równe, strzegący przejścia między Polesiem a wyżyną Podolską.

Projekt Komitetu Narodowego w Paryżu przewidywał dla Polski Horyń jako linję graniczną aż do ujścia Słuczy Litewskiej. Jednak granice Horynia pozbawiały Polskę bardzo ważnej drogi Poleskiej (Wilno — Równe). Dla należytego zabezpieczenia Polski od wschodu, należałoby szeroko ją osłonić bezdrożami poleskiemi. Na Polesiu można wyróżnić trzy części: 1) cypel od Brześcia do Pińska, wbity w międzyrzecze Prypeci, Piny i Styru; 2) olbrzymi obszar bagien („hał") od Pińska do Ptyczy i Uborti, wreszcie 3) wynioślejszy przesmyk owrucko-mozyrski, stanowiący jakby groblę z południowej Rusi przez Polesie — ku Litwie. Otóż Polska powinnaby zająć nietylko cypel piński, ale także, obszar „hał" między Pińskiem a Mozyrem i dotrzeć do Uborti i Ptyczy. Wielka puszcza między Ubortią a Słuczą, od Emilczyna do Berezna i dalej, do Stepania posiada ludność przeważnie polską, częściową odwieczną, szlachecką, częściową świeższego napływu i to z różnych dzielnic Polski (spotykałem tam nawet przybyszów z ziemi Chełmińskiej).

Niech nam nikt nie mówi o imperjalizmie, kiedy sięgamy po tę puszczę nad Ptyczą, tak znajomą nam i blizką dzięki artyzmowi Weyssenhofa, po te leśne wsie szlacheckie, zamieszkane — gniazdami — przez Chorążewskich, Rudnickich, Szachniewiczów, Korjatów, Żegadłów, Wachowskich. Polesie—to albo *pustynia*—biała karta pod względem narodowym, albo dzie-

---

modlitwa, modlitwa pokorna, uznająca winę, skarżąca się Bogu, jako Ojcu, karzącemu dzieci Swoje,—modlitwa ufna nie we własne siły, lecz w moc Tego, co berła świata kruszy, modlitwa godna stanąć obok prastarej Boga-Rodzicy.

Hymn „Boże coś Polskę", surowo wzbraniany i prześladowany przez ostatnie pięćdziesiąt lat niewoli, przechował się jednak w sercach narodu, a zastępy ludowe na nutę jego śpiewały pieśń „Serdeczna Matko", jakby dla omylenia czujności moskiewskiego ucha. Gdy nareszcie opadły kajdany ojczyzny i naród odzyskał prawo wyrażania głośno tego, co długo ukrywać musiał w głębi serca, znowu począł śpiewać „Boże coś Polskę" i tym hymnem uświęca wszystkie narodowe uroczystości. Ze zmianą warunków politycznych powstała myśl ułożenia nowego hymnu i na konkursie przez „Gazetę Warszawską" zapoczątkowanym premjowane zostały 2 utwory Pieńkowskiego Stanisława i Glińskiego Kazimierza (Gazeta Warszawska № 53). Widocznie pierwszy z tych autorów nie uświadomił sobie, że hymn narodowy ma być śpiewany przez cały naród, nietylko na ulicy i na polu bitwy lecz i w kościołach, a więc treść jego powinna być przedewszystkiem prostą, popularną i duchem modlitwy owianą. Utwór Pieńkowskiego ma być śpiewany na nutę „Z dymem pożarów" i od tych słów się zaczyna; składa się on z 6-ciu strof na przemian 5-o i 4-o wierszowych, których na nutę Chorału Ujejskiego śpiewać niepodobna. Co do treści samej jest to tylko okrzyk tryumfu niespodziewanego wskrzeszenia Polski, trzymany w tym tonie, jak gdybyśmy ten tryumf własną pracą zdobyli. Ani wdzięczności dla Boga ani powagi modlitwy niemasz w nim śladu; zaledwie luźna wzmianka o Bogu, którego zew „w okrężnej zawierusze siły narodu" odzywa się w hejnale mew (!) i w szumie morskich fal.

Siłą co Polskę wskrzesiła jest tu orzeł biały, na którego władny znak — „do pracy i do boju! z pod ziemi, pól i miast, w czas wojny i pokoju, niby hussarji pęd grzmi oskard, pług i młot, i armat straż graniczna straż, jak huraganu grzmot". W tym pretensjonalnie nastrojowym stylu mogą wyrażać swoje uczucia literaci i dekadenci, nigdy naród, nigdy lud.

Drugi hymn premjowany—Glińskiego, i formą i treścią góruje nad poprzednim. Forma modlitwy dziękczynnej utrzymana jest od początku do końca, jest tam i wzmianka choć bardzo pobieżna o cieniu na drodze życia naszego, który rozproszyć trzeba, o związanie siebie łańcuchem jedności i t. d...

Pozostaje tylko kwestja na jaką nutę go śpiewać? nie jest on nawet podzielony na strofki. Pragnęlibyśmy, aby nuta „Boże coś Polskę", już przeszło stuletnią mająca za sobą tradycję, pozostała i nadal w narodzie. Szczęśliwą więc miał myśl ksiądz Ignacy Charszewski, że hymn swój dziękczynny („Gazeta Poranna" № 74) napisał w rytmie „Boże coś Polskę", a „przed Twe ołtarze"... bardzo właściwie zamienił na następujący dwuwiersz: „Żeś nam zapalił zmartwychwstania zorze, ciebie chwalimy, Wielki Ojców Boże". Szata hymnu pełna treści, podniosła a zarazem prostotą swoją dostępna dla każdego, ma tę jeszcze zasługę że przypominając klęski i bóle dawniejsze łączy nas z przeszło-

dzina nielicznej *ludności ruskiej*, mówiącej językiem małoruskim, bardzo starożytnym i niepodobnym do ukraińskiego (np. *„postrój twój wóz“*, *„twój kóň“*, gdy na Ukrainie: *„twij kiň“*), jest wreszcie Polesie mrowiskiem polskiego ludu, który mieszka gromadnie, wielkiemi rodami, i—choć w części mówi gwarą poleską,—zachował silne, nietknięte poczucie swojej odrębności i zdumiewa dystynkcją duchową.

Ci dawni rycerze, potem budnicy, rudnicy, smolarze, którzy przed wiekami zanieśli z Mazowsza w te strony technikę przemysłów leśnych, dziś ubodzy rolnicy, dzierżawiący nieliczne skrawki suchsze „horodów“, żyjąc wśród niesłychanej pierwotności, w warunkach okropnej nędzy, usiłującej zetrzeć z nich wszelkie cechy ludzkie, odróżniają się od swoich sąsiadów, włościan ruskich, takim arystokratyzmem, taką szlachetnością i delikatnością uczuć, że kto tylko miał sposobność poznać ich bliżej, wspomina ze wzruszeniem tę głębię i siłę cech rasowych.

Tych nieznanych nikomu, niepochwyconych przez statystykę Polaków poleskich, zamieszkujących zwarto wielki obszar kraju na północ od Słuczy pod Horodnicą, należy objąć granicą Rzeczypospolitej i stworzyć sobie w tych ostępach bezpieczne, czysto-polskie pogranicze, dobrze osłaniające ważne węzły kolei poleskiej (Równe, Sarny, Łuniniec). Górną Słuczą, Chomorem i Uszycą zbiegałaby granica do Dniestru, przyłączając do Polski całe niemal: Wołyń i Podole w historycznych granicach—odwieczne dziedziny wpływów polskich, żywotne tereny polskiej kolonizacji. Na tym terenie żywioł ruski jest rozcieńczony nietylko osadnictwem polskiem, ale także nowszemi kolonjami Czechów i Niemców. Jeżeli wolno przewidywać odrodzenie wielkiej Rosji i połączenie z nią Ukrainy, należy zatroszczyć się o wyłączenie z tej „Ukrainy“ obszarów silniej przenikniętych kulturą Polską i odpowiednich do zjednoczenia z Rzeczpospolitą. Jeżeli bliżka przyszłość dowodniej, niż dotąd przekona nas o osłabnięciu wpływów polskich na Rusi Litewskiej i Ukraińskiej, o przewadze wpływów rosyjskich — wtedy nie pozostanie nam nic innego, jak cofnąć granice Polski tak, żeby przynajmniej resztki spuścizny Jagiellońskiej zachować. Połowa „Litwy“ przedrozbiorowej i narożnik Wołynia wysunięty ku Rusi Czerwonej, objęte granicą od Połocka do Chocima—to wielkie pola walki i pracy. Wystarczą na zaspokojenie wielkich potrzeb i roztoczenie wielkich zadań.

Wschodnie obszary dawnej Rzeczypospolitej, na które padł gęsty posiew polskiej krwi i polskiego ducha, stały się w ciągu wieków obszarami walki. Przecięły się tu koliska wpływów Rzymu i Bizancjum, Europy i Azji, polskiej dzielności cywilizacyjnej i wschodniej reakcji. Ze ścierania się na tych ogromnych polach dwóch odłamów Słowiańszczyzny i Chrześcijaństwa — powstała wielna mnogość odcieni etnicznych. Zuchwałe fałsze, brutalne uogólnienia rosyjskiej „nauki“ przesłoniły prawdziwe oblicze tych krajów i zaślepiają dziś doktrynerów swojskich i obcych. Należy pamiętać o młodości cywilizacyjnej tych dziedzin, o ich dziejach—zawiłych i burzliwych—obejmujących zarówno głębokie procesy kolonizacyjne, jak bogate procesy duchowe. Ich rozwój średniowieczny przerwali Tatarzy, nowożytny, polski—Rosja. Zapóźnione w rozwoju, pokaleczone przez barbarzyńców, rażące objawami rozkładu, zaszczepionego przez Rosję, rojące się od największych na świecie mrowisk żydowskich, są dziś — w każdej mierze — obszarami zniszczenia.

Wracają dziś do roli terenu spornego między ogniskiem moskiewskiem a polskiem. Polska ma dziś obowiązek zająć całość tych krajów dla obrony od szalejącego barbarzyństwa, dla elementarnych obo-

---

ścią. Spotykamy tu myśli, prawdą i rzewnością chwytające za serce, j. np. „Spięci we wraże trojakie mundury, Boże, my byli niewolne Kainy! Ach takiej męki my już po raz wtóry, nie znieślibyśmy ni jednej godziny! Wierni przysięgom, my krew bratnią lali ku pomnożeniu prześladowców mocy, Aleś Ty krew tę ważył na swej szali, i rozlał zorzę Polskiej Wielkanocy“. Albo nieco dalej: „Jako pielgrzymi, my z ziemi niewoli, Do wolnej Polski—przez krwawe zadymki, szli w ciężkiej męce długo i powoli, i otośmy już u celu pielgrzymki! Toż przypadamy do tej świętej ziemi, do niej spiekłemi przywieramy usty, Ją obejmujem ramiony tęsknemi, i łez radosnych lejemy upusty“. To nie czcza retoryka, ale głos wyrwany żywcem z piersi polskiej, który zarówno inteligent jak i chłop zrozumie i odczuje. Jedną tylko małą skazę chcielibyśmy usunąć z hymnu Ks. Charszewskiego, a mianowicie przedwczesną przechwałkę w końcowej strofie, że z Polski uczynił perłę Europy, że cnota, oświata zbożna w niej rozkwitną... Dałby to Bóg ale nam do tego bardzo daleko. Wzmianka o tem, czem Polska, przypomina nam przykre wrażenie, jakie wywoływało w nas odśpiewywanie „Roty“ Konopnickiej w kościele. Oprócz wygrażania pięścią krzyżakom tak niewłaściwą w świątyni jest fanfarońska przysięga, że ziemi ani piędzi nie oddamy. I jako ślub osobisty nie ma on znaczenia w ustach nie poznańczyków, przemawiając zaś w imieniu narodu, stajemy w sprzeczności ze smutnemi faktami. Niechże młodzież, zbierająca się na uroczystości narodowe po kościołach, nie wnosi do nich tego zgrzytu.

Nie zaszkodziłoby przypominać narodowi, to, co pisał Krasiński.

Dziś gdy rozegrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami
Daj nam o Boże świętemi czynami
Wśród sądu tego samych wskrzesić siebie

i prosić Go, „o największe wśród dóbr Twych dobro, o dobrą wolę. Nie zawadziłby też pobieżny chociażby rachunek sumienia z wad narodowych, które były przyczyną upadku niepodległości Polski, i jeśli się z nich nie poprawimy, mogą nam odzyskaną wolność zmarnować.

A któż do robienia takiego rachunku bardziej powołany, jak nie kapłan, spadkobierca Skargi, Starowolskiego i Kajsiewicza? I jeszcze jedna króciutka uwaga: w hymnie dziękczynnym narodu polskiego należy się po Bogu zwrot do tegoż narodu królowej—Bogarodzicy Dziewicy Bogiem wsławionej Maryi.



wiązków ludzkości, nadewszystko względem własnych dzieci na wschodzie. Prawem też i obowiązkiem Polski jest rozwinąć na okupowanych obszarach wzorową gospodarkę państwową i najenergiczniejszą pracę uświadamiającą. O przyszłości tych krajów rozstrzygnie wola ludności. Jeżeli dziś najrdzenniejsze, niezaprzeczalnie polskie ziemie zdobywać musimy plebiscytem — cóż dopiero te odwiecznie sporne, zupełnie nieokreślone krainy! Ciemne, zmęczone, trwożne, nijakie dusze swoich skrajów wschodnich zdobyć musi Polska umiejętnością swojego zarządu i propagandą idei polskiej.

Tyle lat tępiono tu ducha polskiego, tyle przerw dzieliło te ziemie od życia polskiego. Tylko ogromny a niezwłoczny wysiłek duchowy całego narodu może dokonać ponownego podboju tych Dzikich Pól, które w dawnych wiekach dały nam wielkość narodową, w których dziś leży tyle ziarn śpiących polskiego życia, na których jutro usypiemy graniczne kopce z Rosją. Tam rozpostarła się nasza główna granica naturalna — Polesie; tam mieszka znaczny odłam narodu, wyrosły z doboru najdzielniejszych, najruchliwszych zastępów polskiej kolonizacji, tam leżą przestronne pola narodowego rozrostu. Utrzymanie najdrogocenniejszych naszych dziedzin—*kresów zachodnich*—zależy od naszej siły na wschodzie.

Te względy powinny rozstrzygać o kierunku naszej ofiarności, o stosunkach w polityce zagranicznej, o sytuacji wewnętrznej.

Uczeni i nieuczeni zwolennicy Unji dobrzeby uczynili, gdyby chcieli pójść za wojskiem na te kresy i zbadać, jak daleko sięgają ślady polskiej przeszłości i co na tych szczątkach można dziś budować.

Tadeusz Turkowski.

Nasza potęga.

Analizując głębiej życie narodowe polskie, przypatrując się okiem bystrego obserwatora rozmaitym przejawom naszego życia społecznego, każdy nieuprzedzony badacz musi przyznać, że całe szeregi instytucji, zrzeszeń i towarzystw rozwija się u nas na podłożu wyznaniowem, katolickiem. Nieraz dają się słyszeć biadania, że pracy katolickiej u nas nie widać prawie wcale, że wszyscy się organizują, tylko my jedni katolicy pozostajemy zawsze poza innymi. Tymczasem trzeba przyznać z całą bezstronnością, że tak nie jest. Praca katolicka u nas jest i nawet, powiedziałbym, nie tylko pokaźna, ale dość potężna. Cały były zabór pruski pracę organizacyjną opiera na zasadach wybitnie katolickich. Wszystkie prawie dziedziny życia narodowego, nie pomijając nawet zrzeszeń finansowych, w Wielkopolsce istnienie swoje i rozwój zawdzięczają ludziom o zasadach szczerze katolickich, a w lwiej części księżom. W dawnej Kongresówce do niedawna praca społeczna spoczywała również w rękach prawie wyłącznie księży katolickich. Dziś zaś w chwilach przetwarzania się życia narodowego, w momentach najcięższych dla naszego bytu społecznego, ile to zdrowych cegieł pod budowę tego życia położyły i kładą instytucje katolickie. Potężne Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich we wszystkich prawie ogniskach przemysłowych, a nawet we wszystkich większych miastach skupia pod swoimi sztandarami szeregi robotników i robotnic, stojących wiernie pod sztandarem krzyża. Związek Kobiet Katolickich pracuje owocnie w rozmaitych punktach Polski wśród szerokich sfer świata kobiecego. Towarzystwo ochrony kobiet prawie wyłącznie opiera się w swej działalności na siłach katolickich. Trudno tu byłoby wyliczać większe i mniejsze zrzeszenia, któremi usiany jest cały kraj, a które byt swój zawdzięczają intensywnej pracy i poświęceniu ludzi o przekonaniach katolickich. To samo również można powiedzieć o dawnym zaborze austrjackim. Zarówno Kraków, jak i Lwów może poszczycić się instytucjami, które nie obawiają się wywieszać sztandaru katolickiego, a których rzetelna praca chlubnie świadczy o energji i wytrwałości działaczy katolickich. Słowem, gdyby urządzono ścisłą statystykę, dopiero przekonałoby się społeczeństwo, ile zawdzięcza dobrych poczynań i pracy idei katolickiej.

Wykazałaby dalej statystyka, że katolicyzm jest istotnie w narodzie naszym wielką potęgą, czynną, zdolną do życia, ujmującą życie narodowe w ścisłe ramy, siłą organizacyjną.

Z pewnością nie lekceważyłyby pewne sfery pracy, prowadzonej pod godłem Krzyża, a nawet poczęłoby się z nią liczyć, jako z istotną wartością i dorobkiem kulturalnym społeczeństwa. Tymczasem przez niektóre nasze sfery praca kulturalna, oświatowa, ekonomiczna o podłożu katolickiem dziwnie jest lekceważona, a przynajmniej niedoceniana, a wreszcie i my sami katolicy nie wiemy dobrze, gdzie i jakie prace nasze istnieją. Tylko pewne okoliczności zaznajamiają czasem szerszy ogół o przekonaniach i duchu tej czy innej instytucji. Czemu się tak dzieje? Sądzę, że pierwszą przyczyną tego zjawiska jest zbyt duża liczba drobnych instytucji katolickich, które nie mogą się rozwijać i potężnieć tylko dla tego, że obejmują zbyt mały zakres działania. Stąd brak im pewnego rozmachu szerszego, inicjatywy, a cechuje je pewna lękliwość i bierność. Gdyby liczba tych instytucji była mniejsza, to z pewnością i sił odpowiednich do kierownictwa byłoby więcej skupionych, i sprężystość działania była bardziej intensywna.

Wreszcie trzeba zauważyć, że dość często instytucje katolickie nie tylko sobie nawzajem nie pomagają, ale czasami wprost przeszkadzają w działaniu. Słowem brak koncentracji w pracy jest przeszkodą poważną dla normalnego jej rozwoju. Drugą wadą naszych organizacji katolickich jest zbyt mały udział w nich inteligencji świeckiej. Każda praca prócz dobrych chęci wymaga przygotowania fachowego. Trudno zaś tego wymagać od ludzi o nizkim poziomie intellektualnym. Brak ten daje się we znaki bardzo dotkliwie. Dla ludu trzeba pracować z ludem.

Inaczej organizować lud poczną ludzie nie zawsze o czystych intencjach i zamiarach, i praca wysunie się z rąk tej inteligencji, dla której sprawy Kościoła i wiary są sprawą i warunkiem odrodzenia narodowego.

Inteligencja myśląca i czująca po katolicku powinna wziąć żywszy udział w pracy organizacyjnej i stać się przewodniczką dla szerszych mas, które chętnie pójdą za nią, gdy zobaczą, że w tem leży ich własny interes. Praca ta nie może być dorywczą, ale stałą, konsekwentną, a przedewszystkiem ideową.

Praca katolicka zamało posiada u nas rozgłosu, zamało o sobie daje znać społeczeństwu. Nie chodzi tu o to, aby w kadzidłach pochwalnych dni jej upływały, ale o to, aby wykazała się siłą realną, bo wtedy będzie większy wpływ wywierać, więcej przyciągać do siebie.

Dziś przy ścieraniu się dwóch potęg we wszystkich dziedzinach życia: chrystjanizmu i zżydziałego

pogaństwa, nieodzownie potrzebną jest rzeczą, aby przekonania, zasady i działanie katolickie uwypuklać i przyzwyczaić społeczeństwo w najszerszych warstwach do przyznawania się wyraźnego, do jakiego należy sztandaru. Dopiero przy należytem zszeregowaniu pracy katolickiej, przy zdaniu sobie sprawy, w jakich dziedzinach ona działa, a gdzie jej brak, przy powołaniu szeregów inteligencji do współdziałania, okaże się jawnie, jaką potęgą w pracy społecznej i narodowej jest katolicyzm. Do tego zaś potrzeba stworzyć jakąś instytucję centralną, któraby to właśnie wzięła za swoje zadanie i stała się ostoją i regulatorem dla organizacyj katolickich. A wtedy staniemy się siłą w Polsce.

A. W.

W przededniu dyskusji budżetowej.

W przyszłym tygodniu Sejm Ustawodawczy ma przystąpić do dyskusji budżetowej. Dyskusja taka stanowi w ustroju parlamentarnym główny probierz sytuacji politycznej państwa, daje okazję do określenia stosunku do rządu poszczególnych stronnictw. Stanowisko względem budżetu jest zasadniczą miarą stanowiska względem rządu: uchwalając budżet stronnictwa większości biorą na siebie odpowiedzialność za jego wykonanie, dają poparcie rządowi, któremu powierzają fundusze narodowe; ci, co nie mają zaufania do rządu—głosują przeciw budżetowi, dając tem świadectwo, że za losy państwa w danych warunkach nie chcą brać odpowiedzialności, i to się nazywa parlamentarną opozycją.

Czasami stronnictwa, uważające zasadniczo istnienie i pomyślność państwa za uwarunkowane budżetem, głosują za nim, by nie podkopywać rządu, chociaż mają rządowi dużo do zarzucenia, ale nie chcą jednak z opozycją, wrogą państwu, łączyć się dla obalenia rządu i utworzenia nowego.

W ten sposób Polacy w Austrji, a nawet i w innych państwach zaborczych, głosowali za budżetem, jako za „koniecznością państwową", nie chcąc przez głosowanie „przeciw" stawać razem z zasadniczą opozycją—i w razie doprowadzenia z nią do większości—być zmuszeni wyciągnąć konsekwencję — i wziąć na siebie wspólnie odpowiedzialność za dalsze rządzenie państwem. Póty, póki głosujący przeciw budżetowi są w mniejszości — przeciwstawiają się rządowi, ale nie uniemożliwiają istnienia państwa — i prowadzenia go przez większość. Ale gdy się z przeciwników budżetu stworzy większość — z tą chwilą musi ona wziąć na siebie trud i odpowiedzialność rządzenia państwem. Państwo, w którem rząd — i jego budżet — takiej większości nie ma i zyskać w żadnej kombinacji nie zdoła — istnieć w parlamentarnym ustroju nie może.

Stronnictwa Sejmu Ustawodawczego znajdą się wobec pierwszego budżetu Rzeczypospolitej w położeniu zupełnie wyjątkowem, nie mającem precedensu: do rządu, który ten budżet przedstawia — żadne ze stronnictw nie ma najmniejszego zaufania; Izba niejednokrotnie stwierdzała, że zaufaniem jej cieszy się jedynie osobiście p. Paderewski, a nie ma prawie ministra, któryby nie był przedmiotem najgwałtowniejszych ataków z tej, albo z tamtej strony izby, a obrony po przeciwnej stronie żaden z nich nie może być pewnym. Toteż stronnictwa, któreby mogło sumiennie głosować za budżetem, w Sejmie niema. A jednak—zapewne budżet większość znajdzie—bo nie ma takiej kombinacji stronnictw, któraby się zdecydowała łącznem głosowaniem przeciw budżetowi rząd obalić

ANT. PUCHAŁA.

Ton polski i żydowski.

Zpośród teorji Towiańskiego wyróżnia się teorja „tonu", który jest czemś pośredniem pomiędzy tego rodzaju pojęciami: jak „styl", „usposobienie", „nastrój". „Ton" wypływa ze skłonności człowieka, z jego poglądów filozoficznych i społecznych, z przekonań i nerwów, a zarazem stanowi o wpływie jednostek na otoczenie.

Inny jest ton świętobliwego mnicha-trapisty, i inny—autora kabaretowego, inny wreszcie zaaferowanej przekupki na rynku, a inny — energicznego i spokojnego wodza wojsk.

Każdy naród ma też swój własny swoisty ton, jemu tylko właściwy. Spokojny, solidny, pewny siebie ton cechuje Anglika; Francuza ton jest jasny, radosny, żywotny, elastyczny jak stal. Niemiec wreszcie wyróżnia się tonem aroganckiej pewności siebie, brutalnego egoizmu, twardości i krótkowzrocznego zaufania w swoją wyższość.

Jaki ton cechuje nas, Polaków? Bodaj że się nie omylę, jeżeli powiem, że odznacza nas uczuciowość, żarliwość, pewnego rodzaju patos, branie rzeczy na serjo, profetyzm, przytem jednak jasność, wyrazistość konturów i linji, oraz jędrność, pulsująca krwią i życiem. Cechuje nas dążność do twórczych i głębokich uogólnień, obok tego jednak żywotność i konkretność, serdeczność i prostota, pietyzm dla tego, co wzniosłe, zachwyt i podziw dla tego, co nie jednodniowe.

To jest ton polski, który się uwyraźnił w twórczości największych genjuszów polskich, czy to w Skardze, Kościuszce czy Traugucie, czy też w Kochanowskim, Mickiewiczu, Słowackim, Norwidzie, Sienkiewiczu czy Żeromskim, czy wreszcie w Szopenie, Matejce, Wyspiańskim czy Malczewskim. Wszędzie ten sam ton patosu, żarliwości, serdecznego gorąca i podziwu dla świata wyższej realności.

Czasem jeno tylko do tego jednolitego tła ogólnej symfonji polskiej wśliźnie się jakowyś ton obcy, jak np. oportunistyczna pobłażliwość „Rodziny Połanieckich", lub sarkazm i złośliwość w niektórych fragmentach Żeromskiego. Te wyjątki jednak właściwie uwydatniają tylko jeszcze ową jednolitość tonu duszy polskiej.

Ton ten utrzymać, usoczyścić, pogłębić, przepełnić mnóstwem dźwięcznych akordów, wprowadzić w życie ogółu i państwowości polskiej, ukazać ten ton światu i w tym tonie stworzyć wiekopomne „Gesta Dei per Polonos"—to jest jedno z naczelnych i najżywotniejszych zadań narodu polskiego. Musimy zachować czystość naszej rasy, odrębność naszej kultury i prawdziwą niezawisłość i oryginalność narodową.

Obowiązek własnej twórczości narodowej winien być jasny, jasny jak piorun! „Postawmy polską myśl nad poduszkami!" wołał Słowacki, i tłumaczył zaraz:

i wspólnie nowy utworzyć. Ten budżet — zwłaszcza, gdy się uwzględni, że dotyczy on półrocza, które się właśnie kończy, że zatem fundusze w niem asygnowane — są już wydatkowane — stanowi najistotniejszą „konieczność państwową". Ale, jeśli stronnictwa, dla których istnienie i rozwój państwa jest rzeczywiście drogim skarbem, będą musiały za tym budżetem *exspost* głosować—myliłby się, ktoby sądził, że temsamem są gotowe temu rządowi jakikolwiek kredyt przyznać.

Właśnie dlatego, że mają one poczucie odpowiedzialności za losy państwa, zmuszające je do głosowania za budżetem — właśnie dlatego będą musiały przy dyskusji budżetowej wyraźnie zaznaczyć, że temu rządowi ani grosza więcej zaufać nie mogą, bo jeśli państwo bez budżetu nie może istnieć — to państwo z takim rządem — taksamo poprostu istnieć nie może: usunięcie tego zgorszenia publicznego, jakiem jest ta parodja rządu, którym Pan Bóg Polskę od ośmiu miesięcy już karze — utworzenie nareszcie rządu, któryby wyłącznie dobru państwowemu służył, zgodnie z wolą większości narodu—stanowi najpierwszą dziś „konieczność państwową". I dlatego dyskusja budżetowa będzie wymagała od mówców stronnictw narodowych gruntownej krytyki rządu — oświetlenia jasno konieczności jego zastąpienia; jednocześnie jednak dyskusja ta nie może prowadzić do odrzucenia budżetu: chociaż z punktu widzenia rzeczowego jest on jaskrawem odbiciem całego niedołęstwa i braku poczucia odpowiedzialności rządu—nie w skarbowo-finansowej dziedzinie leży przyczyna główna katastroficznego niemal położenia, w jakie nas te rządy od czasu zamachu lubelskiego wtrąciły. Istota rzeczy leży w tem, że po okupacji niemieckiej przyszła do władzy związana ścisłemi węzłami gromada ludzi, która pod okiem i pod opieką okupantów od chwili wybuchu wojny wyrosła w Polsce, przez cztery lata oparta o przemoc okupantów narzuciła się nieszczęsnej Ojczyźnie, gdy ta zaledwie protestować mogła — a po usunięciu okupantów — nie przestała ani na chwilę torturować powszechności narodowej niesłychanemi eksperymentami. Władza jest dziś w Polsce w ręku grona ludzi, które wyszło z osławionej szkoły niegodnej narodowej tradycji polityki krakowskiego Enkaenu, o którym grozę budzące świadectwo dał pisarz i obserwator tej miary, co Żeromski, który pisał o tej galicyjskiej kuźni nowych kajdanów dla wyzwalającej się Ojczyzny:

„Ohydne, blagierskie deklamacje, najoczywistsze i najbardziej realne interesy tudzież karjery, podawane, jako poświęcenie bez granic, wielosłowne, wielokwadransowe wywody grubych ciemięgów, elokwencja kretynów, dowcipy błaznów, jako najlepsza moneta krążyły w tym zespole przewodników skołatanej Ojczyzny. Pracowali tam również, lub tracili czas dobrzy głupi ludzie, którzy wierzyli w zapewnienie frantów, jakoby oni wszyscy wraz kwalifikowali się do roli dobroczyńców Polski i stali, pod względem idei i zasługi, ramię w ramię z powstańcami sześćdziesiątego trzeciego roku. Ślepe zaufanie do własnego namaszczenia i dostojeństwa, było, jak ciepła kąpiel, w którą z rozkoszą pogrążał się każdy kołtun, szalbierz, lub ryfa. Galicyjskie gadulstwo znalazło wreszcie trybunę najpodatniejszą, z której mogło wylewać się bezkarnie i na wsze strony. Austrjacka lojalność zbratała się na nowo ze starą tromtadracją i przybrała sobie do pomocy różnych strasznie srogich „szefów" czerwonych stronnictw, ażeby ze wszech sił popierać „dobrą wolę Widnia". Tak to, zażywając całej zdolności intrygowania i gadania, spychano jeszcze raz z ramion starych wałkoniów obowiązek zbawienia Polski na barki dzieci i podrastającej młodzieży".

Z tego źródła wynikło nieszczęście, które dotąd

... „A nie dlatego, bym miał jaką wzgardę
W sercu, jak człowiek przeciw człowiekowi,
Ale chcę, aby zamki były twarde
Na tych granicach, które duch stanowi".

Również i Wyspiański w „Wyzwoleniu" zwracał baczną uwagę na konieczność utrzymania jednolitości i oryginalności ducha polskiego, którego czystość brudzą intruzy—złodzieje, co się wkradają w polskie ciała i przywłaszczają sobie prawo nazywania się Polakami, nie będąc nimi z ducha.

Tak, polskość jest to gatunek ducha, albo też, jak chce Słowacki w „Samuelu Zborowskim", stan ducha, odpowiadający, wedle Słowackiego, najwyższemu szczeblowi człowieczeństwa. Polska — to wedle niego:

„Kraj, gdzie się schodzą
Duchy już godne najwyższego tronu,
Które swój żywot jako harfę godzą,
Nie z żadną ciała skruszonego troską,
Ale z harmonją nieśmiertelną, boską,
Nie z celem ziemi już, lecz z celem światów".

Nie sposób jednak nam już dziś przyjmować dosłownie mesjaniczne teorje Słowackiego, zresztą i jemu nie o to chodziło. Pozostaje nam natomiast jako stała zdobycz z wielkiego posiewu polskiej poezji wieszczej świadomość, że troska o niepodległość narodową prócz materjalnej ma też swą stronę duchową; całość ojczyzny naszej, oraz czystość i odrębność kultury naszej—to są cele równoważne.

Dopiero w tem świetle jasnem się staje niebezpieczeństwo, grożące kulturze naszej i oryginalności narodowej ze strony sączących się zzewnątrz do duszy naszej wpływów kulturalnych obcych.

Zastrzeżenia co do tych wpływów innych narodów i kultur wywołują zdumienie a częstokroć oburzenie. Zarzuty szowinizmu, zaściankowości, wyłączności narodowej są w takich razach najczęstsze. „Jakto? chcieć się odgrodzić od innych narodów „kordonem zdrowia"? kultywować przestarzały sarmatyzm? — dziś w wieku XX-ym?" — takie zarzuty powszechnie się słyszy.

Nie trzeba chyba dowodzić, że nie o to chodzi. Umiejętne korzystanie z kultur obcych jest tak samo wskazane jak rozwijanie kultury własnej, jednak poddawać oddziaływaniu obcej kultury należy tylko te jednostki, które dostatecznie przesiąkły kulturą polską, które zdołały już wyrobić w sobie ów ton polski, o którym mówiłem na czele tego artykułu. Wychowanie dzieci i młodzieży naszej powinno być narodowe; do lat dwunastu, powiedzmy, dziecko nie powinno znać ani słowa w obcym języku, nie powinno obcować z cudzoziemcami, nie powinno nawet w przekładzie czytać obcych książek, chyba zresztą jakieś bajki Andersena czy Grimma. Na szczeblu wyższym korzystać z dobrodziejstw obcej nauki powinien tylko ten, kto przynajmniej zgrubsza zapoznał się z tem, co w danej dziedzinie posiada jego kraj. Dziwolągiem wreszcie w literaturze nazwać należy tego, kto lepiej zna np. Heinego, Hebbla, Goethego—niż Słowackiego lub Norwida, lecz pomimo to sądzi, że jest polskim

rządzi Polską—ta sama atmosfera intrygi i kołtuństwa, karjery i blagi—jest udziałem naszego rządu.

I głównem zadaniem dyskusji budżetowej musi być obnażenie tej ropiącej rany i przygotowanie opinji publicznej do gruntownego jej wypalenia. Ta dyskusja powinna uświadomić ogółowi posłów narodowych, że jeśli niezwłocznie nie zarzucą partyjnych przekomarzań dla stworzenia zwartej większości, niezbędnej do postawienia na czele państwa najlepszych ludzi, na jakich naród polski dzisiaj tylko zdobyć się może, a przytem ludzi radykalnie wyzwolonych z pod jakiejkolwiek zależności, od tego zatrutego dziedzictwa, które wlecze dotąd za sobą z enkaenowego natchnienia zrodzony „aktywizm" — to staną się winni zbrodni przeciw Ojczyźnie.

Dyskusja budżetowa powinna uświadomić Sejmowi i Narodowi djagnozę choroby—i bezpośrednio poprzedzić jej szybką i skuteczną kurację.

Sincerus.

Reformatorzy.

Debaty nad reformą rolną coraz bardziej stają się ciekawe, nie ze względu na argumenty, popierające różne kierunki rozwiązania tej poważnej sprawy, znane już wszystkim z pierwszych mów, ale z racji tych tajemnych pragnień, jakie nagromadziły się w duszach niektórych posłów czy stronnictw, które w chwilach bardziej krytycznych wypełzają na jaśnię. 16 czerwca była taka chwila krytyczna. Na galerji sejmowej stały szeregi uczestników Zjazdu Thugutowców. Tych trzeba było przekonać, ich dusze zdobyć. Mniejsza jakie środki będą użyte, jakie struny namiętności ludzkich potrącone, byleby przy tej melodji tłum skakał według taktu grajka.

Dwuch posłów stanęło na estradzie, poszli po drodze najniższych instynktów ludzkich. Jeden uderzył fanfarą tonów mówniczych, przy akompanjamencie oburzenia większości izby, stary gracz, posiwiały w rzemiośle, gdyż nigdy nie był artystą, drugi nowicjusz skrobiący, jak po szkle, tonem, treścią, stylem. Byli to socjalista Daszyński i członek N. Z. R-u Piekarski.

Poseł Ignacy Daszyński jest typowym austrjackim politykiem, dla którego wykręt stanowił o rozumie, poza napuszona—o poklasku, krzykliwy ton oburzonego Katona—o sukcesie. Zdala był interesującym, zblizka staje się coraz bardziej nudnym; według sprawozdań gazet galicyjskich zdawał się być bardziej polskim od Stańczyków, po przyjrzeniu się zblizka tej wielkości rozdmuchanej widzi się małostkowość więcej niż podrzędnego gatunku. Mowy Daszyńskiego importowane do Kongresówki, i czytane ukradkiem, mogły mu zrobić sławę estetycznego mówcy, zniewalającego słuchacza, by się nim przejmował, i go podziwiał, ale teraz przy bezpośredniem słuchaniu go, przychodzi się do przekonania, że nikogo przekonać nie potrafi; ten esteta na piśmie, zwłaszcza jeśli to pismo było zakazanym owocem, jest zwykłym poziomym linoskokiem w mowie słuchanej. Zwroty i skoki karkołomne, akrobatyczne koziołki w każdej dziedzinie są dlań zwykłym żywiołem życia. Lubi, żeby go podziwiano, pragnie tego za wszelką cenę, choćby kosztem poniżenia osobistego, nadwątlenia tych zasad, których jako socjalista winien bronić, to też zwykle wywołuje oburzenie, niesmak, awanturę—tem żyje, to widocznie zrosło się z jego psychiką. Obserwując go na mównicy uważnie, można byłoby przyjść do wniosku, iż poważnym być nigdy nie umiał, na serjo nie brał ani słu-

---

pisarzem, albo też bliższy jest Dostojewskiemu, Gonczarowowi czy Hercenowi, niż Mickiewiczowi, a jednak pisze książki w języku polskim, jak np. Brzozowski w swych początkach. Książki takie i dzieła stworzone przez ludzi, dla których obca kultura jest bliższa i droższa, niż ta, którą oddycha ich naród, nie mogą być nazwane polskiemi, tak samo jak np. przekład obcego dzieła pozostaje przecie dziełem obcem. Nakoniec kaznodzieja, cytujący w ciągu jednego kazania około dwudziestu obcych nazwisk, pomiędzy innemi Schopenhauera i Tołstoja, zaś ani jednego polskiego — nie może też być uznany za kaznodzieję polskiego.

Swego czasu o tem wszystkiem wymownie bardzo pisali Mochnacki, Goszczyński i inni, dziś jednak wyobrażenia te znowu nie są tak jasne, jak być powinny, należy więc znów o tem mówić i pisać.

W stosunku do obcych tedy wpływów należy zajmować stanowisko jedynie właściwe: poznać je, ocenić, strzedz przed niemi i odpowiednio kierować, czasami umiejętnie przeciwdziałać i wręcz zwalczać.

Z wpływów tych kulturalnych i umysłowych na specjalną baczną uwagę zasługuje szczególnie wpływ żydowski, który z istoty rzeczy różnemi drogami do umysłowości polskiej przenika i szerzy spustoszenia.

Ton żydowski! — Na czem on polega?

Różni się on całkowicie od tonu polskiego. Ton żydowski — to ton intelektualizmu, sceptycyzmu, egoizmu, ton obłudy, wyrachowania i sprytu. Metodyczność i planowość akcji żydowskiej jest zadziwiająca! Umieją oni przybierać różne bardzo maski, pozostając w gruncie rzeczy tymi samymi: wyrafinowanymi przeciwnikami chrześcijaństwa i kultury zeń emanowanej. Najprzeróżniejsze odcienie, stosowane przez Żydów w tej ich uporczywej i konsekwentnej walce, są bardzo ciekawe i warte poznania.

Więc np. weźmy wypadek, gdy Żyd zwróci swą uwagę na coś, co jest otoczone powszechną czcią i szacunkiem. Udaje on też cześć dla owego przedmiotu czci, acz ostrożnie stara się zachwiać ów szacunek.

„Pan dziś w kolorach się mieni";

mówi Żyd do Pana Młodego w „Weselu", i dodaje ostrożnie:

„Pan to przecież jutro rzuci...
Pan się narodowo bałamuci,
Panu wolno, a to piękny krój...
To już było!"

Lecz kiedy Rydel odpowiada:

„Ha, to jeszcze wróci",

to Żyd z gotowością niemniej ostrożnie potakuje:

„Jak każdy będzie patrzeć przed nos swój,
Może co z tego będzie na inszy raz".

Ta krecia, uporczywa i wytrwała robota podkopywania wszystkiego, co świętem jest lub takiem się

chacza, ani tematu mowy, ani, siebie samego. Jest niejednokrotnie coś wstrętnego, gdy ujmuje sprawę, która jątrzy niby rana w organiźmie powstającej ojczyzny, człowiek z przeszłością w stosunku do Wiednia i Berlina nad wyraz smutną dla polaka. Słowem ten „bluszcz", pragnący z Polski uczynić podnóżek dla Habsburgów, jeżdżący do Berlina „za zwykłym paszportem" podczas wojny, typowy „galicaj-radykał", pochopny zawsze „całować rączki", wszystko poświęcić gotów w mowie, byle błyszczeć, byle płynąć na powierzchni, mniejsza czy to krynicznej, czy też zwykłej kałuży... Smutne! Tem smutniejsze, że ojczyzna, wolność, niepodległość, godność narodowa nie schodzi z ust jego, gdy tak trzeba, ale jeśli to zbędne, zmienia odrazu ton, układ słów, i bluźnie stekiem cuchnącym na wszystko to, co przed chwilą za święte uważał, przed czem głowę chylił, kolano zginał; bluźnie tem plugawiej, im bardziej są święte uczucia, grające w duszy ludzkiej od zarania: miłością, bólem, ofiarą!

Mówił ostatnio do chłopów, zezował ku galerji, by objąć w posiadanie duszę, która była dotąd niedostępna dla demagogji socjalistycznej. Socjalista przeto ustąpił miejsca rezunowi, inteligent choćby z najmniejszą skalą smaku estetycznego — prostakowi, niszczącemu z lubą zawziętością najpiękniejsze nawet rzeczy tylko dlatego, że nie są jego własnością.

Trudna była sytuacja socjalisty-demagoga. Program socjalistyczny jest jasny: zniesienie osobistej własności przez upaństwowienie wartości materjalnej. Ten program trzeba było postawić, nie wolno było jednak go uwypuklać, tezy podkreślać, uczciwie wykładać. Dusza bowiem chłopa z natury konserwatysty na wszelkie upaństwowienie własności, zwłaszcza jeśli to ma obejmować jego osobistą, jest nieczuła.

Dlatego trzeba było uderzyć w inny ton, zagrać taką melodję, któraby upoiła słuchaczy i pozwoliła przemycić program własny i zadowolnić zasadniczych przeciwników tego programu: pogodzić wywłaszczenie z własnością osobistą. Daszyński wybrnął z tego wprawdzie z całą pełnią niekonsekwencji, po drodze niebezpiecznej dla siebie jako socjalisty, jeśli nim jest, a niebezpieczniejszej dla państwowości polskiej w imię której często zaznacza swą pracę w szumnych przemówieniach.

Użył zdania w przelocie: „nie można wywłaszczać kilkunastu miljonów morgów z rąk kilkudziesięciu tysięcy ludzi, a zatrzymać się przed inną formą własności prywatnej, jak przed świętością"—i tu miał rację, tej tezy trzeba było bronić, tę myśl uzasadnić i albo wszystką ziemię w imię tej zasady, a więc i drobnych posiadaczy, upaństwowić, albo żadnej i drogą normalną tylko uprzystępnić nabycie z większej własności na rzecz mniejszej. Logika jednak została wyrzucona brutalnie przez demagogję. Główne uderzenie wymierzył przywódca socjalistów w ten sposób, by drogę do własności małorolnym wskazać tak gwałtownie, aby nie mieli czasu się zorjentować nad zdaniem:— co mnie dziś, jutro tobie. Czerwienią krwi zasłonił oczy, oślepił płomieniem pożogi krótkowzrocznych klaszczących na galerji słuchaczów do tego stopnia, że straszne wprost dla państwa zasady właśnie w Sejmie, który powinien budować nie burzyć, były wygłoszone i oklaskiwane.

Według p. Daszyńskiego reforma rolna powinna być załatwiona więcej radykalnie niż debaty w Sejmie wskazują. Reforma powinna oprzeć się na sile, która nie w Sejmie ale w chłopach się objawia; a jak ta siła ma się przejawić w praktyce p. Daszyński znajduje bardzo łatwe rozwiązanie, cytuje przykład z historji rewolucji francuskiej. „Chłop zabrał (t. j. ziemię) sam, wypędziwszy pana, spaliwszy mu pałac, zrobiwszy z niego emigranta".—p. Daszyński, który zawsze za-

---

wydaje danemu społeczeństwu, to stała metoda żydowska. Owe różne „Widzi mi się" Konarów, owe „Małe feljetony" rozmaitych Zysławów, planowe wysiłki t. zw. Dreisternerów teatralnych i rozmaitych dziennikarzy żydowskiego pochodzenia — ku jednemu zmierzają: ku zachwianiu wszelką powagą, wszelkim przedmiotem czci, ku wytworzeniu złudzenia, że wszystko jest w gruncie rzeczy blagą, że można to ująć tak a można owak, że wszystkiem rządzą w istocie pobudki najniższe, że wzniosłość, ofiara, miłość, zapał, zachwyt—to w gruncie poza, śmieszność, udanie...

Sofisterja i sceptycyzm — oto właściwy ton żydowski. Cechy te czynią zeń wręcz antytezę tonu polskiego, to też nie naprózno Mickiewicz twierdził z powodu Krasickiego, że satyra nie jest zgodna z duchem polskim, zaś Słowacki w „Królu-Duchu" wyprowadza gdzieś zagadkową postać, wrogą Królowi-Duchowi, o której powiada:

„...urągacz wiekowy,
Który już od wieków
Z duchowej mojej boleści urąga".

Gdy żyd spostrzega, że jakowaś dziedzina zaczyna zwracać na siebie powszechną uwagę, wślizguje się do niej nieznacznie, prawem „mimicry" przystosowuje się rzekomo do tonu, panującego w owej dziedzinie : zyskuje możność szkodzenia owej sprawie, której pozornie służy, dyskredytowania jej, niwelowania jej wpływów, wypaczania. Tak się stało z „Młodą Polską", która miała swego Żyda, tak się dziś dzieje z mesjanizmem, który się już staje geszeftem; z teatrem, z prasą, z wojskiem i t. d.

Gdy się Żydowi wydaje, że polityka nie jest już rzeczą konieczną, wtedy podnosi przyłbicę i woła „precz z białą gęsią", lub też: „kak, zdzieś jeszczo nie gawariat pa russki?".

W ostatniej wreszcie dopiero chwili żydzi zrzucają maski, zupełnie i z całą bezczelnością, iście żydowską, z hałasem i gwałtem rzucają się wręcz na znienawidzony świat chrześcijaństwa, mordują księży (np. ową, po wsze czasy pamiętną, ofiarę gniewu żydowskiego, świętej pamięci ks. Światopełk-Mirskiego w Mohylowie),—zamykają kościoły i przerabiają je na kinematografy (w tym samym nieszczęsnym Mohylowie) i t. d.

Polsce jednak nie grozi chyba, by z pod maski żydowskiej miał się ukazać ów „furror iudaicus", tembardziej też bacznie trzeba przeciwdziałać i zwalczać ów ton żydowski, który ten wybrany naród pragnie umysłowości naszej przyszczepić.

Cóż tedy robić należy? Przedewszystkiem — nie walczyć nienawiścią. Żydzi się nienawiści nie boją; owszem rozwijają się w jej ogniu niezgorzej, jak salamandra. By zwalczać skutecznie szkodliwe wpływy tonu żydowskiego w naszej kulturze, należy robotę żydowską demaskować i obracać ją na służbę tej sprawie, której żyd pragnie zaszkodzić.

Prototypem żydowstwa jest niewątpliwie święty Paweł, któż bo wątpi, że się żydzi w całości jako naród nawrócą do Prawdy, która wszak z ich łona wyszła? Podobnie jak Chrystus, słońce Prawdy po-

rzuca narodowym elementom, jeśli go nie podziwiają, iż prowadzą do rozbicia Sejmu, nie widział w tem zdaniu, że, oprócz potwornego podżegania do mordu, pożogi, kradzieży, uważa powagę Sejmu za zbędną, prawa za niepotrzebne, sprawiedliwość za pusty dźwięk. Jakby chciał ubiec zdziwienie, które musiało w umysłach powstać, odpowiedzieć na pytanie jak się to uprawniło? — dalej uzasadnił: „cała społeczność ze względu na byt i rozwój musiała ten krwawy gwałt ulegalizować, żadna potęga nie mogła ani jednej morgi chłopu, którą kupił albo zabrał, odebrać".

Słowem: zabić, spalić, zabrać, czy kupić to wszystko jedno—to drogi tak utarte jednako prowadzące do celu, iż można je z wysokości trybuny zalecać.

Ale przecież jest jeszcze inny trybunał—sprawiedliwość większa ponad ludzką. Przewidział taką refleksję p. Daszyński, postanowił wykpić ten trybunał, ośmieszyć mszę świętą, wyszydzić sprawiedliwość bożą i tego dokonał zaiste z wysiłkiem, godnym lepszej sprawy. Oburzeniu jednej strony odpowiedziała niezwykła radość lewicy. P. Daszyński osiągnął swoje. Przemycił wywłaszczenie bez odszkodowania, uczynił wyłom w zasadzie uznawanej dotąd w duszy chrześcijanina—chłopa za niewzruszoną, a w każdym razie za nieprawną. — Osiągnął skutek bezwzględnie, gdyż słuchaczów z galerji upewnił, że nietylko ziemię wziąć darmo, ale przytem można bezkarnie spalić, a w życiu to będzie uprawnione, poza śmiercią... można to wykpić! Tak się przeprowadza sanację chorych stosunków socjalnych, tak się reformuje Polskę.

Nic też dziwnego, że na słabsze umysły tego rodzaju rozumowanie działa jak opium. Więcej może ta mowa podobała się Thugutowcom, niż nawet socjalistom. Wewnętrzny związek Thugutowców z socjalistami uwypuklił się dowolnie w klaskaniu frenetycznem, w rozpalonych oczach, w gwałtownych okrzykach, jakgdyby dym palonych „pałaców i dworów" zaczadził ich, a krew wygniatanych „ptaków" w tych gniazdach sprawiała im szczególniejszą rozkosz.

To też i przedstawiciel N. Z. R. p. Piekarski jakby ze wstydem tłumaczył się przed rozgrzanym krwią i pożogą tłumem, iż przecież i on jest zdania, że „ostateczne rozwiązanie sprawy agrarnej może tylko nastąpić przez unarodowienie" ziemi i do tego celu trzeba dążyć przez walkę na śmierć i życie z posiadaczami ziemi, jak również z czarną międzynarodówką, co każdy zrozumiał dokładnie, t. j. z Kościołem, jako stróżem prawa i sprawiedliwości.

Te dwa przemówienia, w których się zachwalało gwałt, prawda w odmiennych formach, i występowało przeciwko Kościołowi Katolickiemu, są dowodem, że jeśli się odstępuje od zasad chrześcijańskich, to trzeba zejść aż do nizin faktora zbrodni. Te ostrzeżenia, które nieraz były podnoszone w stronę inteligencji, gdy ta z jakąś dziwną ślepotą chciała zburzyć i w duszy młodzieży i w duszy chłopa podstawy etyki chrześcijańskiej i powagę religji katolickiej—już się sprawdzają. Mówiono: religja potrzebna dla chłopa—życie wykazuje, iż potrzebna dla wszystkich. Refleksje w Sejmie ostatnich dni są tego dowodem, refleksje smutne, ale prawdziwe.

Michał Nawrocki.

---

stawiwszy przed oczy Szawłowi, oślepił go i gromem uderzył, jednak po to tylko, by go nawrócić i uczynić szermierzem Prawdy i Miłości, podobnież i my, którzy się ośmielamy nazywać naśladowcami Mistrza, w walce naszej z Żydami nie możemy zapominać o celu, który winien nam przyświecać. Celem tym może być tylko: nawrócenie się Żydów.

Fakt masowego ich pośród nas zamieszkania nie może nie być ogarniony przez wyroki Opatrzności. Współudział ich w kulturze naszej może być niewątpliwie szkodliwy, jednak o ile w czas będziemy stosować umiejętnie i świadomie pewne szczepienia ochronne, to jad sceptycyzmu żydowskiego przestanie działać (może się przekształci w — humor?) i umysłowość żydowska może się również obok polskiej — stać sługą

„tej wielkiej Bożej sprawy,
Która musi być wygrana w niebiosach,
Nim ją anieli na tęczowych włosach
Zniosą na ziemię!"



Z rozpraw sejmowych.

Poza dyskusją w sprawie rolnej Sejm załatwił cały szereg spraw bieżących—a przy okazji zdemaskował obłudę lewicy. Daszyński wprost wydrwił przygotowywanie rewolucji przez chłopów-zwolenników thugutowej reformy rolnej, Piekarski doszczętnie skompromitował swój klub socjalistycznem oświadczeniem, że celem jego jest właściwie nacjonalizacja ziemi.

Atmosfera staje się coraz goretszą; ale szczytu swego zdenerwowania doszła lewica we wtorek, gdy przyszedł pod obrady nagły wniosek posła Skupia o zdradzie na froncie, popełnionej przez 2 kompanje milicji ludowej. Wniosek domagał się usunięcia milicji z frontu, przeprowadzenia surowego śledztwa i ukarania winnych według praw czasu wojennego. Charakterystyczne było wystąpienie Ministra Spraw Wewnętrznych, który ośmielił się pouczać Sejm o tem, że nie powinien zajmować się sprawą, będącą jeszcze w toku śledztwa, i zajął zupełnie niedopuszczalne dla ministra stronnicze stanowisko. Mówca lewicy w sposób niesłychany napadał na znanego i zasłużonego generała, i bronił milicji pomimo oczywistej zdrady z jej strony i zabójstwa żandarma. Minister nie znalazł ani jednego słowa dla obrony generała, ani jednego słowa potępienia dla zdrady wojskowej—tylko zajął się pouczaniem Sejmu. Jest to jeszcze jeden dowód, że nie ma on wyobrażenia o tem, co to jest konstytucyjny minister, i jaką jest jego rola wobec suwerennego Sejmu.

Nagłość została pomimo to uchwalona, gdy jednak poseł Załuska chciał uzasadnić żądanie większości merytorycznego uchwalenia samego wniosku—thugutowcy podnieśli skandaliczną wrzawę w sposób wykraczający przeciw najelementarniejszym przepisom przyzwoitości i obyczaju parlamentarnego. Dr. Załuska podyktował stenografom oświadczenie swego Klubu, że merytorycznego uchwalenia wniosku, który wszak niczego nie przesądza, tylko potępia zdradę i żąda śledztwa i usunięcia z frontu zdrajców — Klub żąda

dlatego, aby dać kategoryczne votum nieufności ministrowi, który tak się zachował partyjnie, że do śledztwa przeciw zależnej od niego milicji ludowej nie ma zaufania, i ma nadzieję, że pan minister wyprowadzi z tego parlamentarne konsekwencje. Wrzawą, biciem w pulpity, krzykami, obelżywemi wyzwiskami nawet przeciw marszałkowi — lewica uniemożliwiła obrady nad wnioskiem, który został w myśl regulaminu postawiony na porządku dziennym następnego posiedzenia. Marszałek musiał zebranie zamknąć. To zwycięstwo bezczelnego, niczem nie umotywowanego gwałtu—jest pożałowania godnym precedensem. Ale na dobre ono i lewicy nie wyjdzie: maska jej spadła; oświadczenie thugutowców, odczytane nazajutrz, i motywujące prowokacyjne i zgoła „chamskie" zachowanie się rzekomemi względami na niezależność sądów, bezpieczeństwo państwa i t. d. nikogo nie oszuka; wylazło szydło z worka: szajka bandytów, tchórzów i zdrajców jest tak drogą tej frakcji, że każde podniesienie się sprawiedliwego oburzenia ludzi przeciwko nim—wywołuje u thugutowców wprost paroksyzm szału: bo z tą bandą milicji ludowej związane są wszystkie nadzieje epigonów lubelskiego panowania—nadzieje, które w miarę ustalania się większości w Sejmie nikną i przepadają.

Izba nazajutrz postawiła rządowi termin dziesięciodniowy do dania wyjaśnień. Parlamentarny obyczaj nie wróży zatem ministrowi obrońcy milicji ludowej długiego żywota. Ale obawiać się trzeba, że w naszym chorym jeszcze ustroju—nawet uchwała wyraźnie wskazująca ministrowi konieczność ustąpienia, może napotkać trudności w wykonaniu—jeśli pozaparlamentarni protektorowie „władzy" zechcą go podtrzymać. W każdym razie wrzód zbliża się do pęknięcia. Na tem samem posiedzeniu N. Z. R., sekundowany przez Związek Ludowo-Narodowy, przypuścił szturm do ministra pracy.

pł.

Wojna i polityka.

Z naprężeniem tak długo oczekiwana odpowiedź sprzymierzeńców na kontrpropozycje pokojowe niemieckie została nareszcie wręczona hr. Brockdorff-Rantzau w poniedziałek ubiegły. Dano Niemcom prawie dwa miesiące czasu na przygotowanie się do dalszego ciągu wojny, na mordowanie bezbronnych Polaków, na burzenie podstaw przyszłego ładu i dobrobytu na terytorjach, które mają przejść w nasze posiadanie. I po kilku tygodniach zbędnych zgoła ceregieli — okazano im zdumiewającą słabość, z której urodzeni bandyci i podstępni szalbierze, jakiemi są od początku dziejów politycy niemieccy, niewątpliwie doskonale potrafią skorzystać.

Poczyniono ustępstwa realne — tylko kosztem Polski, jak było to do przewidzenia. I aczkolwiek zapowiedziany plebiscyt na Śląsku został dzięki energji naszych przyjaciół Francuzów tak obstawiony, że praktycznie możemy się go nie obawiać—stanowi to ustępstwo dotkliwy zawód dla Polski. Gdybyż choć w zamian — stając na gruncie plebiscytu dla sprostowania podyktowanej granicy — zastosowano tę zasadę objektywnie — t. j. nietylko do zakwestjonowanych przez Niemcy terytorjów Górnego Śląska, ale i do nie objętych podyktowaną granicą ziem polskich, jak Sycowskie i Namysłowskie, Wieleńskie, Babimojskie i t. d.; gdybyż i wobec Gdańska konsekwetnie uznano, że dopiero w 3 lata np. po zawarciu pokoju i dania mu poglądowego dowodu, jak korzystne są rządy polskie — będzie mógł orzec, czy pragnie niezależności, czy tylko swobód autonomicznych w obrębie Państwa polskiego. Wówczas ustępstwa byłyby przynajmniej zrobione z pozorami objektywności; tak, jak brzmią — jeśli wierzyć gazetom—są dowodem jaskrawym słabości, i zbyt przejrzystej obawy o dalszą wojnę.

A tymczasem nieszczerość Niemców bije w oczy, i bezczelność ich nieustannych prowokacji na ziemiach polskich, jasno zdradza ich podstępne zamiary, sprowokowania wojny z Polską, nawet jeśli traktat podpiszą, unieruchomiając przez to armję Focha.

A tymczasem intryga niemiecka znów rzuca na nasz front południowo-zachodni bandę zbójecką Ukraińców, którzy tym razem w pień wyrzynają ludność polską.

Nietylko godność narodu, nietylko elementarne prawo do ratunku ze strony Polski tej miljonowej rzeszy Polaków pod uciskiem bandytów ukraińskich — ale elementarne wymagania bezpieczeństwa Państwa wobec perspektywy wojny z Niemcami wskazują na bezpośredni obowiązek ostatecznego zduszenia hydry i zgniecenia gniazda zbójeckiego, posunięcia straży polskiej i opieki wojskowej polskiej nad spokojną ludnością daleko poza Zbrucz i Smotrycz. Ale na to trzebaby mieć na czele wielkie ambicje państwowej mocy, a nie małe, nędzne ambicyjki osobistej sławy i partyjnej intrygi. Kiedyż nareszcie wola narodowa nie będzie paraliżowana przez tę sieć podziemną, która omotała wszystkie centra narodowego czynu—w interesie jedynie naszych wrogów!

Jednocześnie na południu klęska Czechów otwiera jedyną — ostatnią może okazję, do dojścia z niemi do trwałego porozumienia. Śmiałym ruchem zabezpieczenia własnemi siłami Spisza, Orawy, Czaczy i Cieszyńskiego można jednej chwili odzyskać to, co buta czeska w chwili powodzenia nam zabrała — i na uznaniu przez nich tego faktu oprzeć wspólną już potem obronę od obcego najazdu. Ale toby wymagało znowu zdecydowania i mocarstwowego instynktu, których zgoła brak naszym czynnikom decydującym.

Wieści nadchodzące ze Słowaczyzny wskazują, że Czesi są brutalnem wydaniem pruskiej polityki gwałtu,—przemocy i bezprawia. Nasz związek z nimi musi być uwarunkowany bezwzględnem uszanowaniem przez nich elementarnych zasad wolności i sprawiedliwości i poszanowania praw ludzkich i narodowych mniejszości. Nie moglibyśmy pomagać jednym pobratymcom w uciskaniu drugich — tylko w obronie przed uciskiem madjarskim.

Stoimy w momencie przełomowym na wszystkich punktach naszej międzynarodowej polityki; front nasz czeka na nowe napięcie intensywności bojowej, której jeszcze w tej grozie nie mieliśmy—i dlatego konieczne jest i wewnątrz państwa poddanie wszystkiego sprawie bezpieczeństwa państwa, spokoju i ładu — i zwycięstwa. Ale na to trzeba mieć rząd narodowy, o wolę narodu oparty, a nie kupę bezwładną ludzi, służących najrozmaitszym intrygom i interesom, ale zupełnie pozbawionych instynktu państwowego. *Periculum in mora...*

X.



PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

Szacowanie strat wojennych.

Projekt traktatu pokojowego, doręczony niemcom w Wersalu d. 7 maja, zawiera w swej części VIII warunki, stanowiące o obowiązku wynagrodzenia strat wojennych. Nie inaczej zapewne brzmieć będą poświęcone sprawie odszkodowania i finansów, a dotąd jeszcze nieujawnione, części VIII i IX traktatu, zakomunikowanego w d. 3 czerwca w St. Germain przedstawicielom b. Austro-Węgier. Na tle tych postanowień międzynarodowych, które, miejmy nadzieję, zostaną w czyn wcielone oraz rozciągnięte i na naszych wschodnich sąsiadów, szczególnej wagi nabierają prace przygotowawcze w kraju, mające na celu ścisłe zestawienie poniesionych przez Polskę strat wojennych, niemniej jak obrona naszych słusznych pretensyj na forum międzynarodowem, w Komisji Odszkodowań w Paryżu. Ponieważ Polska, jako państwo, w wojnie udział brała stosunkowo niewielki, wynagrodzenie dotyczyć będzie przedewszystkiem odszkodowania za straty, poniesione przez ludność cywilną i instytucje publiczne, a nie zwrotu kosztów wojennych.

Ażeby wystawić rachunek strat, należy je obliczyć, to też z uznaniem powitało społeczeństwo długo oczekiwaną Ustawę o ustaleniu i oszacowaniu świadczeń i strat wojennych, wydaną przez Sejm pod datą 10 maja r. b. (Dziennik Praw № 41 poz. 298).

Nim wejdę w szczegóły przepisów ustawy, poświęcę słów kilka historji szacowania strat wojennych w Polsce w związku z podobną akcją w innych krajach Europy.

Jak wiadomo, Polska, z wyjątkiem jednej Wielkopolski, od pierwszych dni pożogi wojennej stała się terenem walk, które ciężkiem brzemieniem padły na barki ludności cywilnej. Historja innych wojen europejskich uczyła, że za straty poniesione z racji wojny poszkodowana ludność bywała wynagradzana z funduszów ogólnopaństwowych lub z sum uzyskanych jako kontrybucja wojenna od zwyciężonego przeciwnika. Teorje społeczne oddawna głosiły, że obywatele danej prowincji, która specjalnie wskutek wojny ucierpiała, winni być przez ogół społeczeństwa, t. j. z funduszów ogólnopaństwowych, wynagrodzeni, gdyż cierpieli za całą ojczyznę, i nie mogą być, wskutek geograficznego położenia swej prowincji bliżej granicy państwowej, traktowani gorzej, niż szczęśliwsi od nich mieszkańcy centrum państwa. W rozwinięciu tych teorji posuwano się nawet tak daleko, iż, nie zadawalniając się pomocą dobroczynną, chciano przyznać poszkodowanym roszczenie prawne o odszkodowanie przeciwko własnemu państwu*).

Wobec takiego stanu kwestji nic dziwnego, że u nas jeszcze w roku 1914/15 pomyślano o szacowaniu strat, tembardziej, że akcja taka, połączona z dokonywaniem czynności na gruncie, zyskuje na ścisłości i wiarogodności, o ile przeprowadzoną jest zaraz po fakcie straty. Niemcy w Prusach Wschodnich wydali pierwsze rozporządzenia o szacowaniu w d. 24 września 1914 r., a więc nieomal w kilka dni po uwolnieniu kraju od inwazji rosyjskiej, francuzi nakazali zbieranie takich że materjałów w uwolnionych departamentach 27 października 1914 r., czyli również bezzwłocznie.

U nas, jak powiedziałem, poczyniono pierwsze kroki w r. 1914/15,—zajął się tem Centralny Komitet Obywatelski, ale działalność jego z powodu ewakuacji Rosjan uległa zawieszeniu w kraju, i przedsięwzięte oszacowania nie dały pozytywnych rezultatów. Nastąpił okres okupacji niemieckiej, podczas której nie można było liczyć na inicjatywę władz i czynników wrogich przy ustalaniu szkód wojennych. Inicjatywa ta musiała przejść do rąk czynników społecznych. Znalazła się garść ludzi dobrej woli, którzy przy pomocy instytucyj społecznych zajęli się oszacowaniem strat wojennych. Główna zasługa przypada w udziale p. Kazimierzowi Olszowskiemu, który pierwszy rzucił myśl rejestracji jeszcze w r. 1915, a, stanąwszy na jej czele, z niezmordowaną energją w ciągu dwóch z górą lat kierował całą akcją, najpierw w zakresie strat rolnych przy Centralnem Towarzystwie Rolniczem, a później w zakresie strat mieszkańców miast przy Radzie Głównej Opiekuńczej. Nieco później Towarzystwo Przemysłowców Królestwa Polskiego przeprowadziło rejestrację strat, poniesionych wskutek wojny przez przemysł. W ciągu okresu z górą 2-u letniego (1915—1918) Komisje szacunkowe przeprowadziły oszacowanie w całym kraju, zestawiając kilkaset tysięcy operatów szacunkowych. Całe przedsięwzięcie jednak, jako inicjatywa prywatna, społeczna, nie mogło być obowiązkowem dla poszkodowanych, a pomiędzy nimi znajdowało się, jak zawsze, dużo niedowiarków i sceptyków, którzy uchylili się od szacowania. To też obecnie, skoro władza polska ujęła ster rządów w kraju, i utworzony został Główny Urząd Likwidacyjny, powołany specjalnie do przygotowania rozrachunku międzypaństwowego, wyłoniła się konieczność przejrzenia materjału, zebranego przez komisje społeczne, dodatkowego oszacowania strat, które poprzednio pominięto, ujednostajnienia całej akcji i wreszcie nadania materjałom charakteru urzędowego, państwowego. Pozatem chodziło również o b. zabór austrjacki, którego rejestracje, prowadzone przez C. T. R. i R. G. O., rzecz prosta, nie dotyczyły, a w którym władze austrjackie oszacowania strat nie przeprowadziły, ograniczywszy się li tylko do przyjęcia zgłoszeń od poszkodowanych.

Wszystkim powyższym potrzebom odpowiada ustawa z d. 10 maja.

Zajmuje się ona z jednej strony kwestją określenia pojęcia szkody wojennej, ulegającej oszacowaniu, z drugiej zaś strony procedurą i organizacją samej rejestracji.

Na wstępie, w art. 1, zastrzega się ustawa, że oszacowanie strat nie przesądza „ewentualnego wynagrodzenia strat wojennych przez państwo". Nie decyduje się więc ustawa na przyjęcie zgóry zasady, dyktowanej teorjami solidaryzmu społecznego, iż obywatel posiada roszczenie prawne przeciw swemu państwu z tytułu strat wojennych. Jak powiedziałem, kwestja nie jest ostatecznie rozstrzygnięta przez ustawę, zadecyduje o tem przyszła ustawa już nie o szacowaniu lecz o wynagrodzeniu szkód wojennych.

Po tem zastrzeżeniu art. 1 określa ustawa w art. 2, że państwowemu ustaleniu i oszacowaniu ulegają „straty, spowodowane bezpośrednio przez wypadki wojenne w Polsce, w majątku obywateli państwa polskiego, należącym do osób fizycznych i prawnych". Określenie to wyłącza straty poniesione przez obcokrajowców i ogranicza kategorje strat, ulegających oszacowaniu, do strat bezpośrednich, to znaczy, że

*) Patrz różne szczegóły historyczne w pracy mojej p. t. Rejestracja i indemnizacja strat wojennych w świetle ustaw, wydanych we Francji po r. 1814—15 i 1870—71, w Niemczech po r. 1870—71, w Austrji po r. 1866, w Rosji po r. 1904—5. Warszawa 1917. Wyd. R. G. O. Tom II. Wydawnictwo „Likwidacja skutków wojny w dziedzinie stosunków prawnych i ekonomicznych w Polsce".

wyłączone są z pod rejestracji t. zw. straty pośrednie, np. stracone zyski i korzyści i t. p. Następny artykuł wyszczególnia rodzaje strat bezpośrednich, które ulegać będą oszacowaniu. Z wyliczenia tego artykułu 3-go wynika, że ustawa ma na względzie jedynie straty materjalne; wyłącza zatem straty moralne, jako nienadające się do oszacowania pieniężnego, tudzież straty na zdrowiu i ciele; te ostatnie, jak słyszymy, ureguluje ustawa specjalna. Oto zresztą tekst art. 3: „W zakres tych strat wchodzą: wszelkie pozbawienie nieruchomości lub ruchomości przez rabunek, zniszczenie lub uszkodzenie, rekwizycje, świadczenia osobiste, sprzedaż przymusową, daniny przymusowe, nieuzasadnione grzywny, wywiezione lub zabrane papiery wartościowe, wkłady bankowe, wkłady kas oszczędnościowych, oraz gotowizna, kontrybucje i konfiskaty, zarządzane w okresie wojennym przez wojska, lub władze cywilne, a nadto przymusowe pozbawienie używalności nieruchomości lub ruchomości wskutek zarządzenia władz wojskowych i cywilnych, obcych lub polskich, dokonanych w celach kwaterunku, ewakuacji i innych, oraz szkody wynikłe z przymusowego zarządu oraz z przymusowych eksploatacyj i umów".

Powyższe określenie obejmuje zarówno świadczenie (rekwizycje) jak i inne straty wojenne, które to dwie kategorje nauka i praktyka międzynarodowa rozróżniają ściśle i uważają za odrębne tytuły do odszkodowania. Rozróżnienie to niewątpliwe przeprowadzone będzie w ścisły sposób przez odpowiednie instrukcje. Pozostawia też ustawa instrukcjom ścisłe określenie sprawców szkód wojennych — ustawa zawiera tylko określenie ogólne—władze wojskowe i cywilne, obce lub polskie.

Określenie pierwszych artykułów ustawy wskazuje, że, zgodnie z wymaganiami nauki i praktyki, poddaje ona rejestracji te straty, które przyjęto ogólnie nazywać stratami „bezpośredniemi, materjalnemi i stwierdzonemi".

Ten ostatni warunek „stwierdzenie" odbywać się będzie, według ustawy, zapomocą uruchomienia aparatu komisyj szacunkowych. Komisje utworzone będą w 2 instancjach — pierwsza instancja — t. zw. komisja szacunkowa miejscowa, utworzona mniej więcej w każdym powiecie, zbierać będzie dane o stratach na miejscu, tam gdzie zostały one wyrządzone; druga instancja, t. zw. komisja szacunkowa główna, działać będzie jako instancja odwoławcza w sprawach, co do których poszkodowany jest niezadowolony z orzeczenia komisji 1-go stopnia, prócz tego sprawdza ona z urzędu oszacowania komisyj miejscowych w wypadkach, gdy strata poddana oszacowaniu przedstawia wartość większą niż 5,000 rubli, 10,000 marek, lub 20,000 koron; wreszcie taż komisja główna ma za zadanie sprawdzenie operatów, sporządzonych przez dotychczas działające komisje rejestracji strat wojennych.

W skład komisyj szacunkowych zarówno pierwszej jak i drugiej instancji, wchodzą przedewszystkiem przedstawiciele sądownictwa, dalej przedstawiciele interesowanych Ministerjów—Rolnictwa i Dóbr Państwowych, Przemysłu i Handlu oraz Robót Publicznych (w komisjach głównych zasiada oprócz tego jeszcze przedstawiciel Ministerjum Skarbu), wreszcie przedstawiciele miejscowej ludności z organizacyj samorządowych lub społecznych. W komisjach głównych zasiadają też przedstawiciele Głównego Urzędu Likwidacyjnego, który kieruje całokształtem akcji szacunkowej, wydaje regulaminy, instrukcje, ustanawia terminy prekluzyjne zgłaszania strat i t. p.

Wspomnieć również trzeba, że cała akcja, jako z ramienia państwa prowadzona, jest dla poszkodowanego bezpłatną.

Co do stosunku tej nowej rejestracji do dawnej, to stosowną normę w tej mierze zawiera art. 8 ustawy, stanowiący: „Materjały szacunkowe, zebrane przed wydaniem niniejszej ustawy przez instytucje społeczne i organy urzędownie upoważnione do ustalania i szacowania strat wojennych, oddane zostaną Komisjom Szacunkowym Głównym, które bądź zatwierdzają je, bądź poprawiają, bądź odsyłają do ponownego oszacowania przez komisje szacunkowe miejscowe".

Spodziewać się należy, że z możności spożytkowania dawnego materjału Komisje Główne korzystać będą szeroko, bo, jak starałem się wykazać w pierwszej części artykułu niniejszego, dawne oszacowania przeprowadzane były poważnie i sumiennie, i w epoce, gdy ślady strat były nierównie żywsze niż dziś, gdy w niejednym wypadku kilka lat upłynęło od chwili wyrządzenia straty.

Nie wątpimy, że w krótkim czasie organizacja zakreślona przez Ustawę z dnia 10 maja rozpocznie działać, i że akcja rejestracyjna zostanie szybko przeprowadzona, zbliżając nas do chwili wynagrodzenia szkód, tak potrzebnych do gospodarczego podniesienia się kraju i do ożywienia zamarłych wskutek wojny warsztatów pracy.

Leon Babiński.

POKŁOSIE.

Gdzie wyjście. — Djagnoza. — Kryzys w Radach Del. Robotn. — Wobec „ostatniego słowa".

Wrogi stosunek żydów do tworzącego się państwa polskiego, ich intrygi i zabiegi na terenie międzynarodowym, by Polskę jaknajbardziej osłabić, prawdziwa wojna żydowsko-polska, jaka się na wschodnich kresach Rzplitej toczy wskutek popierania przez żydów za wszelką cenę bolszewizmu, powoduje niezwykłą aktualność kwestji żydowskiej u nas. Nie schodzi też ona z łamów pism, które mniej lub więcej szczęśliwe sposoby jej rozwiązania wciąż wysuwają.

Pan A. S. w dwóch ostatnich numerach „Rozwoju" szuka „wyjścia" co do kwestji żydowskiej. Charakteryzując stan obecny tej sprawy, pisze on:

> „Jest to już dla nas aksjomatem, którego uzasadniać nie potrzebujemy, że żydostwo w swej masie jest czynnikiem tem szkodliwszym w zakresie gospodarczym, im większe trudności mamy w tej dziedzinie do przezwyciężenia, niebezpiecznym w zakresie politycznym, bo stającym zawsze po stronie wrogów naszych Niemców, bolszewików, Ukraińców.
>
> Jakież wnioski wyciągnęliśmy z tego aksjomatu w zakresie życia praktycznego?
>
> Wnioski wręcz przeciwne tym, jakich mogliśmy oczekiwać.
>
> Równouprawnienie Żydów przyszło jako — fatalistyczna konieczność, przeciwko której nikt nie protestował nawet.
>
> Nasze władze rządowe tak gorąco wzięły do serca ten dogmat, że dzisiaj widzimy Żydów wszędzie".

Z goryczą uskarża się p. A. S. dalej:

> „Niegdyś przypuszczaliśmy, że w każdej odrobinie władzy, którą społeczeństwu naszemu uda się ująć w swe ręce, posiądziemy potężne i skuteczne narzędzia walki z supremacją żydowską. Dziś—jesteśmy państwem niepodległem, suwerennem, pełnię władzy posiadamy w swem ręku, i widzimy często, iż władze państwowe nietylko nie stawiają tamy zalewowi żydowskiemu, ale gościnnie otwierają mu bramy nawet do tych dziedzin życia, do których niedawno jeszcze Żydzi dostępu nie posiadali".

Podkreślając, iż wobec zawodu pod tym względem pozostaje nam „samoobrona społeczna i akcja prywatna, mająca na celu przedewszystkiem wzmocnienie pozycji gospodarczej żywiołu polskiego", autor ostrzega przed złudzeniem, ażeby ta akcja samopomocy społecznej mogła być „środkiem, wystarczającym do rozwiązania kwestji żydowskiej u nas", albowiem

„Dopóki Żydzi będą mieli możność wygodnego gnieżdżenia się w organach naszej władzy państwowej i wyzyskiwania naszego aparatu państwowego na swą korzyść, dopóty szanse walki na terenie społecznym będą nierówne; niepodobieństwem będzie dla nas wygrać tę walkę. Zważmy bowiem, że nawet caeteris paribus, Żydzi w walce z nami posiadają szanse dodatkowe w swej odmiennej etyce".

Autor wskazuje coprawda, iż szanse te wyrównać możemy „przez większą obrotność przedsiębiorcy polskiego; przez kategoryczny nakaz moralny w społeczeństwie polskiem popierania handlu i przemysłu swojskiego; wreszcie przez takiż nakaz, obowiązujący władze polskie do niedopuszczania Żydów do urzędów państwowych", ale dalej zaznacza, że chodzi mu przedewszystkiem:

„o całokształt kwestji żydowskiej, o stworzenie takich warunków bytu prawno-państwowego, przy których uniemożliwiony byłby wpływ czynników żydowskich na najważniejsze dziedziny naszego życia państwowego i narodowego, niezależnie od dobrej czy złej woli takiego lub innego ministra, niezależnie od takich czy innych prądów politycznych, nurtujących w samem społeczeństwie polskiem".

Przechodząc do porządku dziennego nad sprawą stosowania względem Żydów praw wyjątkowych, jako nad rzeczą niemożliwą w Polsce, i trafnie podkreślając z drugiej strony, iż równouprawnienie nietylko nie rozwiązuje kwestji żydowskiej, ale ją zaognia, p. A. S. w № 22-im „Rozwoju" pisze:

„Sądzę, że jedyne wyjście dla naszego organizmu państwowo-narodowego w stosunku do Żydów jest również—zupełna ich izolacja.

Żydzi domagają się obecnie, drogą nacisku czynników polityki międzynarodowej—autonomji narodowościowej. Sądzę, że moglibyśmy zgodzić się na ten ich postulat pod jednym wszakże koniecznym i słusznym warunkiem—zupełnego izolowania Żydów od naszego życia państwowego i narodowego."

Autor gotów jest zgodzić się na odrębne szkolnictwo żydowskie, pod warunkiem, żeby żydzi nie mieli wstępu do szkół polskich, na odrębne sądownictwo, byle nie wnosili swego ducha do sądownictwa polskiego.

Autor dopuszcza nawet

„istnienie odrębnego sejmu żydowskiego i odrębnych żydowskich rad miejskich, z warunkiem, oczywiście, że Żydzi nie będą wówczas brali udziału w wyborach do Sejmu polskiego i do polskich (chrześcijańskich) rad miejskich.

Rola czynników państwowych sprowadzałaby się wówczas do nadzoru zwierzchniego, by autonomiczne ciała żydowskie nie naruszały ogólnych norm bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego".

Jednem słowem p. A. S. sądzi, że „izolacja prawno-państwowa żydów, wzmocniona przez takąż izolację obyczajową i towarzyską, jest jedynym środkiem zabezpieczenia naszych interesów państwowych i narodowych".

W № 22-gim „Rozwoju", p. St. Pieńkowski, poszukując również sposobu ostatecznego rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce, podkreśla, iż

„Sejm ma obowiązek postawić przed sobą sprawę żydowską w tym całkowicie stanie, w jakim ona w życiu rzeczywistym istnieje t. j. jako ciężką chorobę narodu polskiego, a więc, w pierwszym rzędzie, powinien postawić jej djagnozę".

Według P. St. Pieńkowskiego, tę „djagnozę" zawsześmy

„dotychczas błędnie stawiali, poszukując przyczyn zła w tych czy innych wadach obywatelstwa Żydów w Polsce, zamiast odrazu odkryć źródło choroby w samym fakcie ich obywatelstwa".

Autor podkreśla wobec tego, że faktycznie

„Żydów uważamy za cudzoziemców zgodnie z istotą rzeczy t. j. zgodnie z ich charakterem, jako przybyszów i obcych, zgodnie z bezwzględnie wrogim dla Polski stanowiskiem Żydów i ich zaborczą względem nas działalnością. Sejm wie o tem. Sejm powinien wsłuchać się w siebie samego i w naród, a że ma obowiązek nazywać rzeczy po imieniu, powinien uznać Żydów za cudzoziemców. To jedno uznanie i wyraźne w Konstytucji stwierdzenie faktu odrazu sprawę żydowską wprowadzi na tory z rzeczywistością zgodne, a więc naturalne i zapewni w niedalekiej przyszłości humanitarne i ostateczne jej rozstrzygnięcie.

. P. Pieńkowski jest zdania, że

„Stwierdzenie tego faktu o Żydach w Polsce i uznanie go w konstytucji, ułatwia Sejmowi ubocznie wszczęte przez Anglję odnowienie w Palestynie państwa żydowskiego. Akcję tę Sejm i rząd polski powinny zagranicą usilnie popierać, a to w interesie ludzkości całej, Żydów i w naszym własnym. Istnienie metropolji żydowskiej rozstrzyga prawnie i zasadniczo wszystkie sprawy żydowskie, gdziekolwiek istnieją".

Redakcja „Rozwoju" w związku z cytowanemi powyżej artykułami zaprasza do „rzeczowych na ten temat rozpraw i sporów".

Istotnie doniosłość kwestji wymaga jaknajbardziej rzeczowego i wszechstronnego jej oświetlenia, bo „choroba" żydowska grasuje w naszym organiźmie narodowym i czas najwyższy po ustaleniu „djagnozy", zabrać się do kuracji.

Z przyjemnością konstatujemy, że co do instytucji, która przez żydowskich menerów bolszewizmu jest uważana za główne narzędzie do pochwycenia władzy w swe ręce, nawet wśród P. P. S. nastąpiło otrzeźwienie.

Mianowicie w № 217-ym „Robotnika" z d. 15 b. m. znajdujemy dłuższy artykuł p. Res. „w sprawie kryzysu w Radach delegatów robotniczych", z którego dowiadujemy się, iż

„W Radach delegatów robotniczych zapanowało u nas obecnie ostre przesilenie. Właściwie należy powiedzieć, że przesilenie istniało od początku ich istnienia, że nigdy nie było tam życia normalnego. Obecnie jednak nastąpił okres rozstrzygający tego przesilenia".

Za winowajców uważa „Robotnik" komunistów, albowiem

„Działania komunistyczne mają dziś jeden tylko cel: podniecić nastrój, rozżarzyć namiętności, wprowadzić jak najwięcej zamętu, aby znaleść jak najrychlej sposobność do „zrobienia" rewolucji. Jednym z najważniejszych motywów, który pcha ich w tym kierunku, jest chęć połączenia się z rewolucją bolszewicką w Rosji. Dla komunistów robotnicy polscy mają tylko znaczenie narzędzia rewolucji".

Ale i inną jeszcze „Amerykę" odkrywa „Robotnik":

„nasi komuniści wprost nie mogą spokojnie mówić o niepodległości i zwalczają niepodległe państwo polskie, nietylko nie interesują się sprawą własnej organizacji politycznej narodu polskiego, ale bez ceremonji ją podkopują".

A więc, gdy interesy partyjne pepesowców zostały poważnie zagrożone przez licytujących ich radykalizmem haseł komunistów, „Robotnik" zdobył się na zupełnie trafną charakterystykę komunistów. Wątpimy

jednak niestety, by potrafił się zdobyć i na wszystkie płynące stąd konsekwencje. Dotychczasowe namiętne zwalczanie przez P. P. S. wszelkich stanowczych kroków względem wyraźnych zdrajców, jakimi są „nasi" komuniści, a co stwierdza i powyższa cytata z „Robotnika", nie pozwala się spodziewać zmiany pod tym względem.

A pamiętajmy że, jak pisze p. B. K. w „Kurjerze Warszawskim" z d. 19 b. m.

„Najbliższe dni, tygodnie będą rozstrzygające dla terytorjalnej, a więc ekonomicznej i politycznej siły Polski—przynajmniej od jej granicy zachodniej. Stanowczość rządu i Sejmu, zgoda między partjami, solidarność w narodzie, wysiłek całej administracji, duch wojska, ofiarna gotowość jednostek—oto cudowne atuty, które możemy wygrać, które uczynić mogą z Rzeczypospolitej potęgę przyciągającą i świetną. Czyż prawda ta nie każe zamilknąć sporom wewnętrznym i nie wypełni serc poczuciem wiekopomnej chwili?"

M.

Uwagi.

Ciekawe, czy nie żydowskim wpływom w armji należy przypisać zbyt często niestety na ulicach miast naszych, nie wyłączając stolicy, słyszane piosenki żołnierskie, od których stary wiarus dawnej polskiej armji napewno poczerwieniałby ze wstydu. Zwracaliśmy już na to uwagę niedawno; gdzieindziej zaklinano władze wojskowe, by przynajmniej do murów koszarowych ograniczyły tę „swobodę", a to przez wzgląd na młodzież i dzieci, na ulicach zarażające się w ten sposób od wojska pornografią śpiewaną. Jest to zupełnie opaczne postawienie sprawy. Wojsko jest wielką kuźnią charakteru i typu narodowego. Takie pojmowanie koszarowej „swobody", że w niej żadnej już miary być nie powinno, dopuszczanie najohydniejszej i najbrudniejszej, cynicznej pornografji do obyczaju żołnierskiego i do żołnierskiej pieśni—byłoby zbrodnią na narodzie dokonywaną. Młode chłopaki, ze wszystkich stanów śpieszące do szeregów, jednak w większości swej przynoszą dusze czyste i zdrowe; stworzenie w wojsku atmosfery domu publicznego jest krzyczącem o pomstę do nieba, systematycznem rujnowaniem w duszy narodu samych podstaw jego mocy i wartości. Nie tylko o dzieci, słuchające na ulicach skandalicznych piosenek, ale o samych żołnierzy chodzi, o zdrowie moralne tego rdzenia narodu, który z wojny wróci do pracy obywatelskiej i do rodzin polskich wniesie zarazę rozpusty i zepsucia; chodzi o dobre imię żołnierza polskiego i godność polskiego munduru, o ten wyraz zewnętrzny szlachetnej duszy narodowej, którym jest każdy żołnierz polski, i który witamy w każdym spotkanym oddziale: widzimy go zdaleka, cieszymy się jego wyglądem, jego dziarskim krokiem, dumą przejmuje nas ten obraz życia i siły—ale gdy usłyszymy piosenkę, z tych młodych piersi płynącą—obrzydzenie i smutek ogarnąć musi każdego, komu droga Ojczyzna! A przecież przepięknych i bardzo wesołych, rzewnych—i swobodnych, ale nie wyuzdanych piosenek posiada nasz śpiewnik żołnierski bodaj więcej, niż jakikolwiek inny na świecie. Chłopcy przybywają do koszar, nie znając pieśni; i tam, zamiast piękna, wesela, dzielności — uczą ich systematycznie paskudstwa, szczepią zarazę! Jest to prawdziwa hańba naszego korpusu oficerskiego, boć nikogo innego za ten stan rzeczy winić nie można. Chłopcy w wielu koszarach oduczają się pacierza—ale zato uczą się pornografji. Cały naród powinien głośno i stanowczo przeciwko tej zbrodni samobójczej zaprotestować. Za każdą piosenkę wyuzdaną karany być powinien nietylko bezpośredni przełożony oddziału, ale i dowódca wyższy, pod którego komendą podobna niecna robota jest prowadzona. Naród swoją młodzież powierza oficerom i dowództwu—i ma prawo żądać, by wojsko było szkołą szlachetności, dzielności i obowiązku—a nie gniazdem rozpusty i znieprawienia. Najwyższy czas kategorycznie to zapowiedzieć dowództwu. Przeciwdziałanie—na papierze, bez dopilnowania w wykonaniu—nie wystarcza. A obawiać się można, że piękny rozkaz Ministra Wojny, zakazujący piosenek „nie licujących z obyczajnością"—będzie tylko papierowym środkiem, o ile dyscyplina obyczajności w Korpusie oficerskim nie będzie od góry do dołu zaostrzona: za zły stan moralny armji odpowiedzialni są tylko oficerowie. *(r.).*

* * *

Był przed stu laty wierszopis Molski, specjalista od panegiryków wszelakich, o którym żartobliwie powiadano, że jakikolwiek los jest Polski, pisze ody imć pan Molski. Dziś pana Molskiego zastąpił pan Wolski, który—stosownie do zmienionych konjunktur, jest pieśniarzem „Robotnika" i jego pepeesowych władców.

Nie tak to dawne czasy, kiedy p. Wacław Wolski pisywał bardzo narodowe albo nastrojowo-religijne sonety—dziś zmienił tematy, porzucił koturny i ton górny i dzień za dniem skrobie „chlaśnięcia" w „Robotniku", w sposób boleśnie upokarzający obniżając poziom swego dawniejszego dorobku pisarskiego.

Skoro pan Wacław Wolski, niegdyś poeta, wszedł do redakcji „Robotnika", to przypuszczać wypada, iż zmienił przekonania, a skoro zmienił przekonania, to bardzo ciekawą jest rzeczą, czy przy najbliższej wycieczce do Włoch pan Wacław Wolski w dalszym ciągu będzie szukał gościny w klasztorach czy też nie? Chociaż kto wie!

Zawsze to bajecznie tanio i wygodnie! Choćby tak naprzykład u zakonników na Sycylji. Prawda, panie Wacławie Wolski?

(s.).



„SPRAWA" wychodzi pod kierunkiem X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego przy najbliższym udziale X. Prof. K. Tomczaka oraz panów: T. Błażejewicza, J. Chacińskiego i X. Dr. B. Wilanowskiego.

Prenumerata „SPRAWY" wynosi rocznie Mk. 55, półrocznie Mk. 30, kwartalnie Mk. 16. Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie: Ajencje, Kantory pism i Redakcje o pokrewnym kierunku.

Administracja: Zgoda 5, w podwórzu, otwarta od g. 9 do 3. Przekazy należy adresować wyłącznie: Administracja „SPRAWY" Zgoda 5.

Przedpłatę wnosić można w każdym urzędzie pocztowym na rachunek nasz № 65 w Pocztowej Kasie Oszczędności w Warszawie.

Redaktor i wydawca: X. Dr. K. LUTOSŁAWSKI. Złożono i odbito w drukarni F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 5.